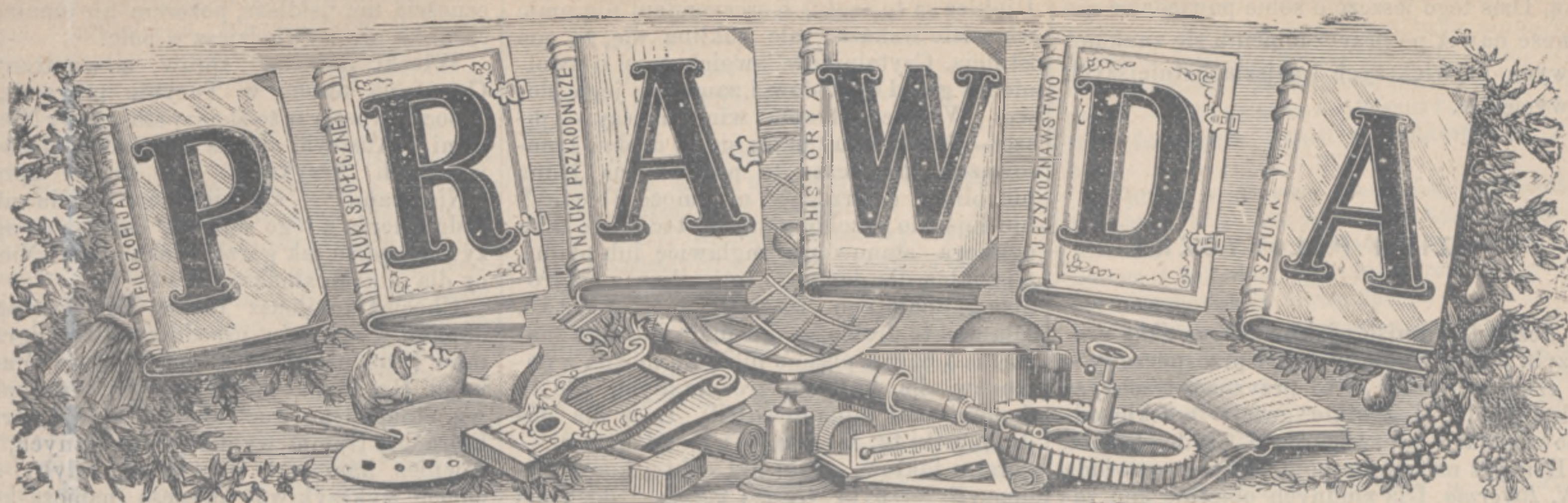
№ 44. Warszawa, dnia 29 (17) Października 1887 r. Rok VII.




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.



## POLITYKA.

### TĘCZA PRZYSZŁOŚCI.

Jak śród huku armat fujarka pastusza, tak śród trąb przedbojowych i uzbrojeń dzisiejszych brzmią głosy apostołów pokoju, marzycieli, pragnących usunąć ze świata wojnę a wszelkie spory, rozstrzygane dotąd orężem, poddać wyrokom trybunałów międzynarodowych. Usiłowania tej dążności przedstawił kiedyś w *Prawdzie* Jeż; obecnie mamy do zaznaczenia ich wyraz nowy, który dziwacznie odbija od szczęków i brzęków militaryzmu a może nigdy bardziej nie kłócił się z rzeczywistością, tem nie mniej na uwagę zasługuje, jako owo ziarnko gorczyczne, które rozrośnie się w dalekiej przyszłości.

W Londynie istnieje stowarzyszenie przyjaciół pokoju (Peace and Arbitration Society), które wydało świeżo mowy swego najznakomitszego apostoła, członka parlamentu, Henryka Richardsa, głoszone przezeń w rozmaitych miastach europejskich. Książka ta jest niezmiernie ciekawa: jako ilustracya dojrzałych owoców militaryzmu oraz nasion wymierzonej przeciw niemu działalności. Obejrzmy naprzód pierwsze.

Według „Statesman's Year Book" w roku bieżącym armie europejskie liczą na stopie pokojowej 3,041,054 ludzi, na wojennej — 17 milionów. Roczne utrzymanie ich w pierwszym wypadku kosztuje przeszło 158 milionów funt. szt. (około 1,580,000,000 rubli). Skutkiem tych olbrzymich wydatków wzrastają ciągle długi państwowe Europy, które obecnie wynoszą 4,550 mil. f. szt. (45,500,000,000 rs.), procenty zaś od nich 213 mil. f. szt. (2,130,000,000 rs.). Od r. 1866, a więc od poczęcia się epoki militaryzmu ze zwycięstw pruskich, długi te powiększyły się o 2 miliardy f. szt., czyli o 20 miliardów rs.

Dla zapobieżenia tym kolosalnym stratom pieniężnym i—w starciach bojowych—ludzkim, Towarzystwo pokoju radzi ustanowienie sądów międzynarodowych, wykazując, że one już wielokrotnie okazały swą wartość moralną i praktyczną. Czytelnik niezawodnie zadziwi się, że w ostatnich 90 latach 36 razy w ten sposób załatwiono spory polityczne. Znamiennem jest tu, że w 10 wypadkach stronami procesów były Anglia i Ameryka. Najważniejszy wyrok, rozcinający ich pretensye, zapadł 1871 r. w Genewie, gdzie sąd polubowny zobowiązał W. Brytanię do zapłacenia Stanom Zjednoczonym 15 mil. dolarów za szkody zrządzone przez jej okręt „Alabama." Tegoż roku cesarz niemiecki rozstrzygnął spór między temi państwami o wyspę San Juan, znowu na niekorzyść Anglii. Zwykle rozjemcami bywali monarchowie lub dostojnicy rządowi, ale nie zawsze. Raz sądził zatarg W. Brytanii ze Stanami kupiec londyński Bates, innym razem — między Stanami a Meksykiem prawnik dr Lieber. Zauważyć należy, że obywatel amerykański Johnson, rozstrzygając proces Stanów z Paragwajem, przyznał słuszność ostatniemu.

Do takiego sądu zwracały się również inne kraje: Persya i Afganistan w r. 1877, Chiny i Japonia w 1874, Niemcy i Hiszpania w bieżącym itd. — a prawie zawsze naprężone stosunki groziły wojną.

Nic dziwnego, że idea trybunałów międzynarodowych najgłębiej zakorzeniła się w Stanach Zjednoczonych, które bez takiej instytucyi u siebie nie mogłyby utrzymać swego związku i każdy zatarg wewnętrzny rozstrzygają sądem rozjemczym. Tam też musiała objawić się chęć rozciągnięcia owej idei na wszystkie kraje świata cywilizowanego. Przed kilku laty amerykański minister spraw zagranicznych Blaine usiłował przeprowadzić ten plan praktycznie w obrębie Unii i zwołał kongres Stanów. Zjazd ten nie przyszedł do skutku, ale idea *stałego* trybunału politycznego żyje dotąd. Właśnie w tej sprawie wyjechała z Anglii do Ameryki deputacya przyjaciół pokoju, która zamierza wyjednać między obu państwami formalną umowę, zobowiązującą je do stanowczego zaniechania wojny i poddawania wszelkich sporów politycznych pod uznanie sądu rozjemczego. Ku projektowi temu Stany skłaniają się bardziej, niż Anglia, chociaż i ona — jak widzieliśmy — od niego nie stroni, a nawet dodać trzeba, że zarodkowe urzeczywistnienie go dostrzegamy w polityce europejskiej. Na konferencyi berlińskiej, zatwierdzającej państwo Kongo, w pierwszym paragrafie statutu zastrzeżono, że wszelkie spory między mocarstwami rozpoznawać będzie sąd polubowny.

Dotąd wyroki sądów międzynarodowych nie miały mocy obowiązującej, obie strony mogły się im poddać lub nie; tymczasem Towarzystwu przyjaciół głównie chodzi o to, ażeby orzeczenie trybunału było nieodwołalne i niezłomne, ażeby ono wyłączało apelacyę do oręża. Jak daleko w przyszłości leży możliwość zgody na takie najwyższe instancye procesów ludzkich — dowodzić nie potrzebujemy. Wobec 3 milionów ludzi stojących dziś bez przerwy pod bronią i 1½ miliarda rocznych wydatków na te zastępy—marzenie apostołów wiecznego pokoju wydaje się jak zawieszona gdzieś w niedoścignionych przestworzach tęcza. Ale — przyznajmy — tęcza piękna. Jakkolwiek teraźniejszość drwi z tego rojenia, barw i blasków świetnych mu nie odbierze. I choćby życie bardzo długo jeszcze czekać kazało, w piersiach ludów, trapionych okropnościami wojny, nie zamrze nigdy wiara, że owa epoka kiedyś nastanie, że skończy się wreszcie okres burz i krwawego posiewu. Cywilizacya, która dotąd okrywa się płaszczem czerwonym, przywdzieje biały i wtedy dopiero będzie miała prawo nazwać się ludz-

ką. Dziś tego jeszcze o sobie powiedzieć nie może nawet po przyozdobieniu się znakami swych największych i najszlachetniejszych zwycięztw.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeżeli lisi umizg, jakim *Kreuz-Ztng* uraczyła polaków, dla nich był przeznaczony— o czem wątpimy — to przyznać trzeba, że chybił celu. Wszystkie gazety polskie odpowiedziały mu wzgardą i szyderstwami. „Dziś już na lep nie pójdziemy — powiada *N. Reforma.* Dla złudnych obietnic nie zaprzestaniemy obrony (w Poznańskiem), bo że o zaczepce nie myślimy, o tem chyba i ks. Bismark i jego dziennikarski pachołek wiedzą dokładnie... Każdy mórg ziemi polskiej, który można uratować, każde dziecko polskie, któremu można dać elementarz polski do ręki — to lepsza naszej przyszłości rękojmia, niż obiecanki tych, co nas tylekroć zdradzali.“

Prasa rosyjska przyjęła „balon“ niemiecki urąganiem, którem zresztą wita od pewnego czasu każdy z tej strony manewr. *Now. Wremia* powiada: „Polityka Prus zawsze opierała się i opiera na grabieży i germanizacyi ziem słowiańskich; podział Polski zaproponowany był przez Prusy i wykonany został wskutek nacisku ze strony Fryderyka Wielkiego; na kongresie wiedeńskim Prusy ani słuchać nie chciały — jak i inne mocarstwa — o samorządzie Polski; idea ta należała wyłącznie do Cesarza Aleksandra, jedynego człowieka, który myślał jeszcze o niezależności Polski. Że Prusy w walce z nami, być może, postarają się połechtać polaków obietnicą odbudowania Polski, to jest rzeczą możebną; lecz od tego do utworzenia Polski rzeczywistej jeszcze daleko; przeciw temu mówi cała przeszłość Prus, wszystkie tradycye jej historyi.“ Ale *Now. Wremia,* drwiąc z gazety berlińskiej, przewyższyło ją jeszcze swoim mimowolnym humorem. Pomieściło bowiem list z Warszawy, w którym bez ogródek i długich korowodów, prosto z mostu, donosi o znakach, zdradzających śród „księży i szlachty“ zamiar... powstania. Doprawdy — wydrukowano czarne na białem. I jakież są te znaki? Korespondent nie umie ich ściśle wskazać, ale zaklina się, że one istnieją. Czytelników swoich prosi o uwolnienie go od dowodów i zaufanie jego słowu. „Widząc i słysząc wiele rzeczy — pisze — które same przez się są drobne i małoważne, nawlócząc te paciorki na jedną nić, blizki dostrzegacz nie może (biedny!) nie dojść do przekonania, że toczy się taka agitacya, stanowiąca mgławicę lub plamę, widzialną dla dawnego mieszkańca (Starożyła), znającego tutejsze społeczeństwo. Dla was te drobiazgi nie mają żadnego znaczenia i nawet pisać o nich nie można z powodów dla każdego zrozumiałych (ile tu demonicznej tajemniczości!). Lecz dla nas drobnostki te są *faktami*“ — gdzie tam! — górami faktów. „Jaki był cel tej korespondencyi?“ — pyta *Gazeta polska* i dochodzi do wniosku, że „mgliste, nieokreślone bliżej podejrzenia bywają nieraz skutecznym środkiem poparcia systemu politycznej represyi.“ Według nas, cel ten spoczywa w redakcyi, albo raczej — w administracyi *Now. Wremieni.* Dziennik ten ma tylko jedną zasadę, której stale pozostał wiernym— robienia wrzawy i drażnienia czytelników pieprznemi nowinami. Co chwilę zaczaja się on i wypada z krzykiem, rad, że przestraszył bojaźliwych. Widzieliśmy, przynajmniej okresową, konsekwencyę w wielu pismach rosyjskich, w *Rusi*, w *Mosk. Wiedomostiach*, widzimy ją w *Swietie*, w *Rusk. Wiedomostiach*, ale żaden kameleon nie przybierał tyle postaci, ile *Now. Wremia.* Jego pokrzyków i strachów nikt na seryo nie bierze, a *Gaz. polska* ma zupełną słuszność, twierdząc, że „organa policyi i żandarmeryi (w Królestwie Polskiem) na równi z nami podziwiać muszą fantazyę i odwagę publicystów tej kategoryi,“ co „Starożył“ z *Now. Wremieni*, wynalazca przyszłego „powstania.“

Zatarg czechów z rządem austryackim, a właściwie z ministrem Gautschem, dotąd nieskończony, pomimo wielu narad. Posłowie czescy byli nawet przyjmowani przez cesarza, ale ten zaszczyt wcale nie stopił ich twardości. Gdyby on spotkał galicyan, podarowaliby Wawel na szkołę niemiecką. Dokądże polacy tracić będą na porównaniu ze swymi pobratymcami! Gdziekolwiek tknąć, kogokolwiek za język pociągnąć, wszędzie i każdy powtórzy nieszczęsną śpiewkę: od czechów nam się uczyć rozumu i charakteru. Ich figą nie napasiesz, grzecznością nie usidłasz, pozorem nie omamisz, cacanką nie wywiedziesz w pole.

Włoski minister spraw ze wnętrznych Crispi na uczcie w Turynie przyznał, że Włochy weszły w ściślejszy stosunek z Niemcami i Austryą. Jakaś gromadka niezadowolonych krzyknęła mu za to: „precz z Niemcami!“ — ale większość zrobiła minę zadowolenia z tego sojuszu, chociaż go spożywać będzie jak gorzkie lekarstwo. Niemcy dla nikogo słodkie nie są.

Chociaż jubileusz Leona XIII przypada dopiero w styczniu, przednia straż pielgrzymów (francuskich) już przybyła do Watykanu. Rząd zajął względem tego przypływu stanowisko roztropne: postawił straż, która ma tłumić wybuchy bezbożnych, ale również hamować pobożnych, gdyby zechcieli wykrzykiwać na cześć „papieża-króla.“ Leon XIII zastrzegł tylko, ażeby przy jego ukazaniu się pątnicy nie bili oklasków.

Zdaje się, że Gladstone zamierza podjąć przeciw rządowi angielskiemu poważną walkę na gruncie sprawy irlandzkiej, i zdaje się również, że może mieć słuszną nadzieję wygrania jej. Ślepy postęp Salisburego w ciemięztwie nagromadził tyle niechęci, że ona wystarczy na wysadzenie go z krzesła ministeryalnego.

Francya babrze się jeszcze w procesie Caffarela i rozmyśla nad tem, czyby sobie nie sprawić nowego rządu. Ten już włada parę miesięcy — zaczyna być nudnym. A gdyby przytem można było zmienić prezydenta Rzeczypospolitej, dopiero by się Paryż uraczył. I może się uraczy.

Chociaż W. Porta znowu pracuje nad jakimś okólnikiem do mocarstw, pozwolą nam czytelnicy na dziś nie zaglądać do Bulgaryi. Ks. Ferdynand podobno zacznie własnym kosztem budować drogę żelazną. Dobrze robi; gdy mu Radosławowy i Cankowcy berlo odbiorą, zostanie przynajmniej dyrektorem kolei.

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### PRZED PÓŁ-WIEKIEM A DZIŚ.

I.

W 1821 i 1823 roku magistrat stołecznego m. Warszawy zorganizował wystawy

2)

## DWA WIDMA.

— Nie odtrącaj mnie, jam taka biedna, taka nieszczęśliwa, taka sponiewierana przez los, jak płat starej skóry, którą pies w zębach nosi, gryzie i pożreć nie chce.

— O, wy miłosierdzia godne sieroty, zrodzone, a nieznające rodziców, unarodowione, a opuszczone przez naród! Kiedyż was jedyna matka, ludzkość, przytuli do swego łona i otoczy troskliwą opieką!

— Co mówisz, dobrodziejko? Kto mnie sierotę przygarnie? I ja sobie nieraz myślę: gdyby poczciwi ludzie okryli mój nędzny grzbiet, dali strawę posilną i kąt ciepły, może by mi ręce zaswierzbiały do roboty, może bym miała odświętną minę. Ale gdy od człowieka wszyscy uciekają, nawet jego własne zęby i włosy, to się chce dogonić kogokolwiek, zedrzeć mu czuprynę i włożyć sobie na głowę. Niech tam! Skoro zacna pani nie wstydzi się iść ze mną, dziś będę porządną, jak figura kościelna. Tylko się naprzód wykąpię w wodotrysku, jeśli go spotkamy po drodze, bo w rzece biednym brudzić nie wolno wody, używanej do picia, a bezpłatnych łazienek nie ma. A kiedy będę czysta, jak zdrowe oko, czy weźmiesz mnie siostro do swego pałacu?

— Żadnego nie mam, mieszkam w skromnych domkach.

— Bywają wygodne. Ale dokąd teraz dążysz?

— Na obsługę nocną. Zanim słońce wejdzie i da hasło do dalszej walki muszę ukrzepić siły bojowników, opatrzyć rany zwyciężonych, uczcić poległych.

— Na pobojowiskach można znaleźć chleb porzucony, odzież zgubioną, klejnoty drogie, kosztowności, które trupom są niepotrzebne a żywym się przydadzą. Cudna wyprawa — spieszmy. Oby nas tylko inni nie ubiegli.

— Bądź spokojna, niedola jest magnesem odpychającym. Przy jej drzwiach stoją na straży smutne duchy, które ludzi odstraszają; jej piersi niemile rzężą, kości wydają chrzęst szkieletowy, oddech zatruwa uśmiechy, ów słodki i odurzający płyn w czarach biesiadników życia. Nieszczęśliwy jest chorym, zapowietrzonym, do którego jedynie litość się zbliża.

— Chociaż ogień dnia zgasł, piec ziemi, niebo, jeszcze grzeje, ale wkrótce ochłodnie. Trzeba skorzystać z ciepła i przespać się, bo ranek zimnem obleje i z legowiska spędzi. Powiedz mi zatem szczerze, siostro, czy warto tę ciepłą część nocy przewłóczyć się?

— Odgrzeb z popiołów twej duszy iskrę miłości dla ludzi, wiary w dobro nadziei w jego zwycięstwo, rozdmuchaj ją w płomień, który drogę rozświecać będzie i pójdź ze mną.

— Ale ostatecznie — dokąd?

— Czy widzisz to okienko poddaszne, po którym ślizga się chwiejny i blady odblysk lampy nocnej? Tam mąż chorej żony i ojciec drobnych dzieci rozmyśla, jak z niemi przeżyje jutro. Rozpacz, ptak drapieżny, usiadł mu na głowie i mózg wydziobuje, smutki niby węże owinęły jego serce i kłują je żądłami. Pyta on daremnie kamienne bożyszcze świata: co ma zrobić, ażeby nie podnieść przeciw sobie samobójczej ręki?

— Ty mu poradzisz?

— Poradzę, ażeby zjawił się na uczcie pijanych marnotrawców i pokazał im, jaki cień rzuca za sobą zbytek.

— Wypędzą go.

— Ale jego obrazu z duszy swej nie zetrą. Widzisz to drugie okno, za którym przy świetle kaganka duma wynędzniały młodzieniec? Podniósł twarz żółtą, niby stara karta, skargą boleści zapisana, z ksiąg losów ludzkich, zmęczony wzrok zawiesił w przestrzeni, piersi gorączkowymi oddechami przypala mu uchylone usta, pięście kurczowo się zaciska — on jutro rozwiedzie się z nauką, której wieczną miłość przysiągł, i zaślubi prostą dziewkę rzemieślniczej, której nie kocha, ale będzie miał przy niej utrzymanie.

— Cóż mu pomożesz?

wyrobów krajowych. Obejmowały one przemysł i rękodzieła, a wykazy ich stanowią dziś przyczynek ważny do dziejów pracy krajowej w zestawieniu z jej wynikami w chwili obecnej.

Ubogo, bardzo ubogo przedstawia się przemysł tutejszy w epoce, o której mówimy. Mimo względnej pomyślności, jaka kraj otaczała, mimo spokoju wewnętrznego, obraz ówczesnych wystaw warszawskich jest dowodem najzupełniejszego zastoju i zależności Królestwa od produkcyi zagranicznej. Wprawdzie przy końcu XVIII stulecia panowała gorączka zakładania fabryk, którą podniecali: Czartoryscy, Poniatowscy, Małachowscy, Radziwiłłowie, Tyzenhauzowie i w. i. lecz przemysł przez nich stworzony nie miał na celu wytwarzania artykułów niezbędnych lub rzeczy, za które miliony obcym płacił (jak np. broń), bo wyrabiano: fajans, porcelanę, lustra, dywany, szkła kolorowe, a zapomniano o płótnie, papierniach, młynach, żelazie itp.; przytem, dalsze wypadki polityczne musiały wywołać przerwę usiłowań ekonomicznych.

Po kongresie dopiero wiedeńskim przemysł polski zaczyna wzrastać dzięki postanowieniom prawodawczym i administracyjnym. Pierwszem było rozporządzenie namiestnika Królestwa (z dnia 2 marca 1816 r.), które udzielało znaczne przywileje cudzoziemcom, osiedlającym się u nas w celach fabrycznych, rolniczych i przemysłowych. W 1820 r. przywileje te wzmocniono, zamieniając niektóre miasta na osady fabryczne, oddając im grunta rządowe na wieczyste posiadanie i udzielając zapomóg pieniężnych. Wtedy więc rozpoczęła się nowa epoka dla przemysłu polskiego.

Ale w latach, które złożyły pierwsze świadectwo wytwórczości krajowej, oddziaływanie przywilejów nie mogło być jeszcze widocznem, tem bardziej zatem ciekawe będzie poznanie kolebki i pierwszych kroków naszego przemysłu; przekona ono nas bowiem, w jak krótkim stosunkowo czasie rozrósł się on i spotężniał, zmieniając pierwotny charakter kraju rolniczego, jakim była Polska niemal aż do szóstego dziesiątka lat obecnego stulecia.

W 1821 r. liczba wystawców wynosiła 43 osób, ilość przedmiotów 320; w roku 1823 pozycya pierwsza daje cyfrę 70, druga 187. Ilość jednak okazanych wyrobów nie może stanowić dowodu bogactwa wystawy, bo numeracya nie obejmuje grup, działów, lub całej np. seryi przedmiotów przez jednego wystawcę nadesłanych, lecz każdy talerz, postumencik lub dywanik zajmują w katalogu numer oddzielny.

W r. 1821 wystawa warszawska wyglądała tak:

*Zakłady rządowe górnicze.* 1) Dyrekcya górnictwa z Kielc nadesłała odlewy ornamentacyjne i przedmioty marmurowe jak: postumenty, blaty, wazony marmurowe, figurki żelazne przedstawiające osoby panujące, sławnych wodzów, postumenty religijne itp. 2) Z fabryk żelaznych w Suchedniowie, prócz wyrobów nożowniczych, okazy blachy walcowanej i kutej, garnki, rondle żelazne, żelazo kratowe, cajniarskie i sztabikowe, wreszcie najprostsze narzędzia rolnicze jak kosy, sierpy, radlice i lemiesze. 3) Fabryki żelazne białogońskie nadesłały blachę cynkową, miedzianą surową i bajcowaną, mosiężną surową i skrobaną, blachę cynkową cyną pobielaną, przytem model mostu żelaznego i model walcowni do walcowania blach żelaznych, cynkowych itp.

*Garbarnie* widzimy trzy, pp. Witticha, Kurtza i Humla. Pierwszy dał buty uniformowe (za złp. 18) i do polowania nieprzemakalne (za złp. 15), skórki cielęce glansowane i safianowe, przytem dwie skóry glansowane do powozów. Kurtz — skóry podeszwowe „najlepsze,“ bawole, krowie wyprawne i skórę na pokrycie powozów. Humel wreszcie — skórki safianowe w różnych kolorach.

*Fabryki szkła, porcelany i fajansu.* Wystawcy: Ks. H. Lubomirski z Horodnicy, fabrykanci tomaszowscy, fabryka w Mińsku i fabryki ćmielowskie p. Karwickiej. Z Horodnicy nadesłano talerze białe fajansowe z obwódkami kolorowemi, imbryczki oraz filiżanki mozajkowe i porcelanowe. Tomaszów dał talerze, wazy, salaterki itp. fajansowe dzbanki i garnuszki kamienne oraz talerze i filiżanki porcelanowe. Z Ćmielowa były wyroby dotąd znane i rozpowszechnione. Mińska fabryka szkła wystąpiła dość okazale, bo z wyrobami rzniętymi, jak: półmiski, talerze, szklanki.

*Fabryki sukna.* Wystawcy: Staszyc z Hrubieszowa i Rephan z Kalisza. Fabryka niezapomnianej pamięci Staszyca—postawy sukna szarego, bronzowego i ciemno-zielonego, i kilka kołder wełnianych. Rephan — postawy sukna różnych kolorów.

*Papiernia* była tylko jedna—Józefowska z okazami tektury i papieru różnych nazw.

*Wyroby lniane* wystąpiły... okazale! Jedna fabryka z Prusy nadesłała dwie sztuki płótna lnianego.

*Wyroby bronzowe pozłotnicze, jubilerskie i ornamentacyjne.* Norblin z Warszawy — koszyki do kwiatów bronzowe i zegar bronzowy; Schwartz jubiler z Warszawy— tabakierki, kieliszki, flaszeczki; M. Wincenti „formator“ z Warszawy — odlewy gipsowe, Wenus i Apollo; wreszcie Lachapelle Gunist przedstawił ramy złocone.

*Wyroby z drzewa, stolarskie, dachówka.* Ordynata hr. Zamoyskiego z Klemensowa — wierzchy do stołów wykładane drzewem sakłakowem i bukowem, oraz tegoż, rozmaitego rodzaju dachówki do krycia dachów.

*Fabryki instrumentów muzycznych.* Leszczyński z Warszawy — fortepian horyzontalny z mechaniką angielską, Brunner z Warszawy — fortepian tak zwany Eoli-Melodikon i Hann z Brzezin — skrzypce z jaworowego drzewa.

*Fabryka kobierców na Solcu w Warszawie* przedstawiła kilkanaście dywanów rozmaitych deseni.

Oto wszystko prawie, co wystawa krajowa z 1821 r. przyniosła.

Następczyni jej z 1823 r. pod względem ilości przedmiotów nie dorównywała swej poprzedniczce; spotykamy za to na niej wyroby nowe i świadczące, że w pewnych gałęziach przemysł i rękodzieła zaczęły się rozbudzać.

Nie będziemy tu wymieniali występujących grup lub firm, lecz tylko zaznaczywszy obecność zakładów górniczych, fabryk ćmielowskiej i tomaszowskiej, oraz fabryki kobierców w Warszawie, zapoznamy się z nowemi firmami i działami wystawy.

*Przędza wełniana, perkale.* Fabryka w Marymoncie — cztery paczki przędzy wełnianej białej cienkiej; fabryka braci Berksonów w Warszawie — siedem sztuk perkalików w różnych kolorach i gatunkach, oraz chustki kartonowe i tyftykowe.

*Garbarnie* juz z nowemi firmami występują: Hammer z Warszawy, Jakubowicz z Jeziorny i generał Rautenstrauch; ich wyroby: skóry wyprawne wołowe i cielęce.

W tym też roku widzimy pierwszy raz występującą *fabrykę wyrobów szklanych*, która pod firmą Knaute i Hordliczka była zaczątkiem tyle głośnej firmy braci Hordliczków z Czech. Fabryka ta nadesłała okazy wazonów, szklanek, kieliszków, lamp itp.

Wyroby stolarskie, ornamentacyjne, rękawicznicze, siodlarskie, grzebieniarskie itp.. wymieniamy nie grupami, lecz pojedynczymi wystawcami, bo ilość ich niewielka, a jakość bar-

---

— Pobudzę go, ażeby o skały tego świata uderzył swą klątwą, która rozpryśnie się w tysiącznych echach i obudzi śpiące w miękko wysłanych norach zwierzo-ludy.

— Marna zabawka.

— Takie echa nie milkną nigdy. Patrz tam dalej usiadła na balkonie i mierzy głębokość przestrzeni młoda kobieta, której uwodziciel wydarł podstępnie dla siebie serce a sąd ludzki przez tę ranę wtłacza jej na to miejsce hańbę. Walczy ona między przywiązaniem do nieprawego dziecka, które ją przed chwilą wypieściło pocałunkami, a odrazą do życia, które wypala jej na czole sromotne piętna.

— Niech podrzuci ludziom to, co jej odbierają.

— Milcz! Niech je wychowa w poznaniu krzywdy, niech go nauczy zemsty, która waży winy na szalach sprawiedliwości a karzący miecz powierza przebaczeniu.

— Ha, ha, ha! Wspaniałomyślny baran, który oszczędza owczarzowi trudu strzyżenia wełny i przeciska się przez kolczaste krzaki, ażeby ją z niego obdarły.

— Nieśmiej się, jak hyena. Oto przed nami stos złowrogi, na którym jutro spłonie mędrzec, potępiony za prawdę, bo jej promieniami głupców oślepił. Stanę przy uwięzionym męczenniku, będę go zachęcała, ażeby się przed katami nie ukorzył i żalem nie splamił czystych kryształów wiedzy, które z głębin tajemnicy wykopał i które potomność ułoży dla niego w świetlany pomnik.

— To pociecha! Lepszy perz w łóżku, niż puch w trumnie.

— Nikt z nas nie jest odkrojonym od wszechducha w przyrodzie jego kawałkiem, lecz każdy, jako dziecko w łonie matki, żyje nim całym. Nie opóźniaj swych kroków, choć mnie czasem nie rozumiesz. Mamy przed sobą wielki krąg niedoli, który obejść trzeba. Widzisz tę gromadę namiotów, niby muszli wyrzuconych na brzeg przez morze: śpią w nich znużeni tułacze, których zły duch wypędził z siedzib za to, że ich nie mógł utluc w wielkim moździerzu i z zagniecionej masy narodowej ulepić tworów według swej woli. Niosą z sobą tylko sakwy pielgrzymie, liry śpiewacze i księgi dziejów rodowych. Tylko matka-ziemia, która niczemu nie odmawia swego przyciągania, przygarnia ich do siebie. Gdyby nie ona, ciśnięci w przestrzeń, spadaliby wiecznie aż na dno nieskończoności. Pójdźmy do nich...

— Co? Obmacywać ich puste torby? Przerwij, kochana siostro, tę czczą, jak mój brzuch, gadaninę, i powiedz wyraźnie: czy dasz mi jeść?

— Co ty czujesz?

— Głód.

— Czego chcesz?

— Zaspokoić go. Łykam twoje słowa, jak bańki mydlane, ale to mnie nie syci, tylko mdli. Gdybyś miała tak zwinne palce, jak wargi, zarobiłybyśmy tej nocy dużo. Naprożno straciłyśmy czas. Oto włóż swoją rękę w moją i podwójną pięścią uderzajmy w łby przechodniów a z pewnością tylo z ich kieszeni w nasze się przesypie, że słońce nas nie pozna. A jeśli nawet będzie potrzeba utrącić szyjkę jakiejś butelki, która odkorkować się nie da...

Przed końcem tych słów czarne widmo zaczęło niknąć i z jękiem rozpłynęło się w powietrzu. Stara niewiasta została sama i rzekła do siebie:

— Myślała, że ja z nią będę kraść nocy rosę i gotować zamiast kaszy przy księżycu. Ha, ha, ha!

I utonęła w mrokach.

Po chwili usłyszałem jakiś krzyk i wołania o pomoc, a potem śmiech starej wiedźmy.

* *
*

Znowu było pusto. Zdawało mi się, że wyobraźnia moja jak gołąb przyleciała z oddali, zwinęła skrzydła i spoczęła zmęczona; zdawało mi się, że zbudzona myśl szepcze do niej:

— Do każdej młodej i bohaterskiej idei przyczepia się stara i wygłodniała niecnota jako jej siostra, która zamierza z nią świat okraść, kiedy tamta pragnie go zbawić.

*W. Okoński.*

dzo skromna. I tak: Leszczyński i Buchholtz — fortepiany, Krantz — zegary, Gackiewicz — grzebienie szyldkretowe i imitowane, Tuszyński ślusarz — postumenty i zegary stalowe, Magnus oraz Müncheimer — guziki, Michalski — włosieniec na meble, Norblin et Gregoir — lichtarze bronzowe, Caumont i Heurich stolarze; pierwszy — sekretarzyk machoniowy, drugi — szafkę machoniową z bronzami, Niwet i Stępkowski — wyroby rękawiczničze, Reschke — pióra damskie i wojskowe.

*Instytut głuchoniemych i ociemniałych* w roku sprawozdawczym wystąpił z wyrobami swych uczniów, dając okazy rozmaitych robót ręcznych, głównie na kanwie przez dziewczęta wykonanych.

*Rękodzielnie domów poprawy* w Warszawie i Brześciu Kujawskiem nadesłały wyroby aresztantów. Pierwsza — sukno szaraczkowe ordynaryjne i kołdry, z Brześcia zaś — płótno i drelich.

*Maszyny i narzędzia rolnicze* szumnie tym tytułem zareklamowane, okazały młocarnię konną Evansa z Warszawy i radło do kartofli Wernika.

Na tem kończę spis przedmiotów przez przemysł polski wystawionych w tak niedawnej epoce.

(D. n.)

*R.*

---

# BADANIA NAUKOWE.

## FIZYOLOGICZNA TEORYA UCZUĆ.

Psychologia w tych działach, które zajmują się myśleniem i wolą, doszła do wyników, mniej więcej zadowalniających wymagania wiedzy współczesnej; przeciwnie, dział jej, traktujący o uczuciach, pozostaje dotąd w stanie takiego zamętu, że niepodobna wyrobić sobie pewnego pojęcia o przedmiocie. Nie masz w nim ani należytego rozklasyfikowania zjawisk, ani nawet powszechnej zgody w zapatrywaniach na istotę uczucia wogóle i na warunki jego powstawania. Przyczyny tej niepewności rzeczy szukać należy przedewszystkiem w braku materyału obserwacyjnego.

Z pomiędzy faktów życia umysłowego uczucia są najmniej dostępne obserwacyi wewnętrznej. Mając charakter czysto podmiotowy, z trudnością tylko dają się zapamiętać i odtworzyć; a tymczasem mogą one być przedmiotem dostrzegań jedynie jako wspomnienia. Obserwacya więc uczuć wymaga nietylko wielkiej wprawy, ale nadto nadzwyczajnej ostrożności. Nic dziwnego przeto, że stały się one przedmiotem ściśle naukowych badań dopiero ostatnimi czasy, a mianowicie, kiedy psychologia, połączywszy obserwacyę wewnętrzną z zewnętrzną, posługując się rzadko doświadczeniem, gdzie je można zastosować, z nauki czysto filozoficznej zamieniła się na przyrodniczą, pokrewną fizyologii.

Do Kanta psychologia nie uznawała w uczuciach zjawisk umysłowego życia samodzielnych, równorzędnych objawom myśli i woli. Zaliczając je już to do dziedziny myślenia, jak w filozofii starożytnej, już to do woli, co nastąpiło dopiero od czasów św. Augustyna, który pierwszy uznał wolę za stronę umysłu współrzędną myśleniu, zajmowała się ona uczuciami tylko mimochodem, o ile tego wymagały względy praktyczne. Wiedząc z doświadczenia codziennego, jaki wpływ wywierają uczucia na postępowanie ludzkie, starano się ocenić względną ich wartość i określić znaczenie moralne, jako pobudek działania. Takie czysto praktyczne stanowisko badania nietylko że nie mogło doprowadzić do wszechstronnego ich poznania, ale co gorsza, podciągając je pod punkt widzenia tej lub owej doktryny etycznej, rzucało na nie fałszywe światło, wikłało je w uwagi i rozumowania, które bynajmniej nie przyczyniały się do wykrycia właściwej ich natury.

Kiedy zaś za przewodem Kanta zaczęto uważać uczucia, jako grupę zjawisk umysłowych, gatunkowo różnych od myślenia i woli, znalazła się nowa przeszkoda w dokładnem zbadaniu tego, co stanowi istotę uczucia i jakie są jego warunki. Przeszkodą taką były nabyte nawyknienia psychologów, którzy, zajmując się dotąd przeważnie teoryą poznania, nie mogli się pozbyć wyrobionych w tym zakresie zapatrywań i żywcem przenosili w sferę uczuć formuły, zapożyczone z nauki o myśleniu.

Jak powiedziałem, ostatnimi dopiero czasy psychologia uczuć zrobiła znaczny postęp, dzięki nowej metodzie, która jej pozwoliła zająć stanowisko, jakie dotąd przyznawano tylko naukom przyrodniczym. Jednocześnie z gromadzeniem materyału naukowego i jego uporządkowywaniem, zaczęła się kształtować teorya, która ciągle poprawiana i uzupełniana—w miarę, jak na to pozwalały zwiększające się nabytki wiedzy — uzyskała w naszych czasach stanowczą przewagę, mając za sobą takie powagi, jak: Bain, Spencer, Wundt itd. Jest to tak zwana fizyologiczna teorya uczuć.

W zawiązku znajduje się ona już u Arystotelesa. Z nowszych filozofów wyznawali ją: Locke, Hartley, Hume; lecz dopiero Hamilton w połowie bieżącego stulecia rozwinął ją i uzasadnił odpowiednio naukowym wymaganiom swego czasu. Przeciwko tej teoryi wystąpił J. St. Mill z surową krytyką. Wymierzone atoli przeciwko niej zarzuty dotyczą raczej szczegółów i bynajmniej nie obalają jej podstaw. To też pomimo różnic, jakie napotykamy w jej sformułowaniu i szczegółowem przeprowadzeniu przez różnych psychologów, pozostaje ona w gruncie rzeczy taką, jak ją pojmował Arystoteles i Hamilton. Do wyznawców jej należą: Bain i Spencer w Anglii, Bonillier i Dumont we Francyi, Lotze, Wundt i Horowitz w Niemczech. Powaga tylu pierwszorzędnych psychologów świadczy wymownie o żywotności teoryi. Nie można o niej wprawdzie powiedzieć, żeby już była wykończona ostatecznie we wszystkich swych częściach; przeciwnie, potrzeba wyznać, że to nawet, co stanowi podstawowe jej założenia, bywa rozmaicie pojmowanem i tłomaczonem. Z tem wszystkiem powszechna panuje zgoda pod tym względem, że przyczyna przyjemności i przykrości, których szczególnymi objawami są nasze uczucia, musi być jedna i że należy jej szukać w fizyologicznych czynnościach organizmu.

Z mniejszem lub większem powodzeniem obrobiona w oddzielnych swych częściach przez różnych uczonych, doczekała się ona ostatecznego usystematyzowania, które zawdzięczamy rosyjskiemu filozofowi, Grotowi. Dzieło jego: *Psychologia uczuć*, wydane w 1880 r., jest najlepszą i najdokładniejszą pracą z tego zakresu. Wykład teoryi poprzedza historya mniemań i zapatrywań na naturę uczuć, oraz ich klasyfikacyi — historya, oparta na dokładnej znajomości źródeł i dozwalająca czytelnikowi śledzić po kolei wszystkie zagadnienia, dotyczące uczuć, jak one występowały w różnych czasach i w jaki sposób były rozwiązywane. Ta część historyczna, obznajmiająca czytelnika ze wszystkiemi stronami badanego przedmiotu, rozważanego ze stanowisk najróżnorodniejszych, nierzadko wręcz sobie przeciwnych, nietylko że ułatwia zrozumienie samej teoryi, ale służyć może do pewnego stopnia za jej probierz. Przekonywa bowiem, że ile razy myślenie filozoficzne potęgowało się w swym rozwoju, tyle razy powracało do filozoficznej teoryi uczuć. Jeżeli więc nie wprost, to ubocznie dowodzi większego jej przed innemi prawdopodobieństwa.

Teorya ta w najogólniejszych zarysach przedstawia się w sposób następujący:

Uczuciem nazywa się stan świadomości przyjemny lub przykry. Jest to fakt umysłowy pierwotny, niedający się rozłożyć na prostsze czynniki i o tyle w swej naturze samodzielny, o ile wrażenie zmysłowe i popęd instynktowy. Różni się ono od wrażenia zmysłowego tem, że ma charakter czysto podmiotowy. Pozbawione wszelkich cech przedmiotowości, nie może ono być przedstawionem w wyobraźni, lecz musi być wznowionem. Wszystkie szczegółowe uczucia nie są niczem więcej, jak objawami mniej lub więcej złożonymi stanów świadomości przyjemnych lub przykrych.

Jakaż jest przyczyna przyjemności i przykrości, doznawanych przez żyjące organizmy?

Najbliższą jest czynność organów. Lecz ta sama czynność może w jednym razie wywołać uczucie przyjemności, w innym przykrości. Muszą więc być dla każdego z tych przeciwnych stanów świadomości osobne warunki, które oznaczają, kiedy czynność organiczna, z natury swej przyjemna, może się stać przykrą. Wyrażając się w sposób ogólnikowy, można powiedzieć, że wszelka czynność umiarkowana jest przyjemną; przykrą zaś czynność nadmierna, tudzież zupełna bezczynność. To atoli określenie nie rozwiązuje zagadnienia, opisuje ono tylko fakt doświadczalny. Zawsze pozostaje do rozwiązania pytanie: dlaczego czynność organu umiarkowana jest przyjemną, a przykrą nadmierna? Otóż odpowiedzi na to pytanie dostarcza nam fizyologia.

Uczy nas ona, że każdy organ, będąc systemem tkanek organicznych, odbywa swe czynność kosztem materyi i siły nagromadzonych w jego tkankach. Warunkiem życia tkanek organicznych jest ciągła przemiana materyi, odbywająca się w dwóch kierunkach: podczas czynności organu związki chemiczne bardziej złożone i niestałe przechodzą w związki mniej złożone i bardziej stałe — jest to praca molekularna dodatnia, polegająca na zużyciu materyi i siły nagromadzonych w tkankach organicznych. Odnowa tych tkanek dokonywa się w kierunku odwrotnym. Związki bardziej stałe i mniej złożone przechodzą w niestałe i więcej złożone — jest to molekularna praca ujemna.

Organ w stanie czynnym zużywa materyę i siłę nagromadzoną w jego tkankach. Czynność umiarkowana zużywa przyrost siły ponad jej ilość, konieczną do odżywiania tkanek — następuje wtedy przyjemność dodatnia; czynność nadmierna zużywa ilość materyi i siły większą nad przyrost ich i staje się powodem dezorganizacyi tkanek organicznych — występuje wtedy uczucie przykrości dodatniej.

Gdy organ znajduje się w stanie nieczynnym, dokonywa się w nim odnowa materyi, praca cząsteczkowa ujemna. Organ, wypoczywający po dokonanej czynności, staje się źródłem przyjemności ujemnej; gdy zaś po dłuższym wypoczynku odnowa w nim dokonała się i nastąpił nowy przyrost siły, znajduje się on wtedy w stanie napięcia i potrzebuje zapomocą czynności zużyć nagromadzoną w swych tkankach siłę. Potrzeba ta objawia się jako niedogoda, uczucie przykre, które jest natury ujemnej.

(D. n.)

*Władysław Kozłowski.*

---

## NASZE POŻYCIE SPOŁECZNE.

Roman Buczyński: *Zarysy stanu moralnego naszego społeczeństwa.* Warszawa. Część I. Czarna księga czynów i wypadków. Część II. Społeczeństwo i przestępcy.

Praca p. B. należy bezwarunkowo do poważniejszych, które ujrzały światło dzienne w ostatnich czasach, a poświęcone są zba-

daniu naszego społeczeństwa. Zapełnia dotkliwie uczuwaną lukę w krajowem piśmiennictwie, której nie usuwały drobne próbki jakiegokolwiek uporządkowania materyału istniejącego, a chociaż *Zarysy* są w wielkiej części zestawieniem takich pojedynczych wysiłków, przecież i to, wobec naszego ubóstwa w tej mierze, nadaje szczególne znaczenie wymienionemu dziełu. Obfitość treści stanowi główną i bodaj czy nie jedyną zaletę autora. Przed naszemi oczami przesuwa się statystyka krajowego zbrodnictwa, jego rozmiary i rozwój, rozmieszczenie według pojedynczych kategoryj, rozkład na zasadzie wieku, płci, zawodu, wykształcenia i okolicy; ruch ludności, jej płodność, śmiertelność i chorobliwość; rozwój samobójstw i prostytucyi itd. itd. Z tego krótkiego wyliczenia kilku zaledwie punktów można już powziąć wyobrażenie o bogactwie materyału faktycznego, zawartego w pracy p. B. — mniejsza o to, że tu i owdzie był już doryweczo spożytkowany. Jeszcze jednę zaletę dzieła stanowi zebranie danych statystycznych ze wszystkich trzech dzielnic, co pozwala czytelnikowi, o ile nie utraci wątku w śledzeniu za faktami, na porównawcze zestawienie „moralności,“ że użyjemy tego niefortunnego wyrażenia autora *Zarysów*. Ale na tem kończą się już wszystkie zalety pracy p. B. Składa się ona raczej z niepowiązanych z sobą kawałków; możnaby, z wszelką swobodą, wyjąć każdy rozdział z jego miejsca i usadowić w jakiemś drugiem lub wydać w pojedynczej broszurze — i to nie nadwyrężyłoby całości. Myśl czytelnika bezustannie się rozprasza i wciąż trzeba zawiązywać wątek pomiędzy rozmaitymi wyjawami naszego życia społecznego. Brak tu wszelkiej łączności w uporządkowaniu materyału, co tem snadniej winno nas zadziwiać, ponieważ w *Zarysach* znajdujemy poglądy, wykazujące, że autor ocenił trafnie znaczenie, które posiadają warunki ekonomiczne dla życia zbiorowego. Wiedza społeczna uwydatnia coraz bardziej tę prawdę, iż wyjawy społeczne nie są jakimiś odosobnionymi od siebie faktami, lecz przedstawiają ścisłą zależność pomiędzy sobą. Wzrost oświaty, dynamika zbrodnictwa, zanik uświęconych przez tradycyę form zawierania związków małżeńskich, rozmieszczenie przestępstw, statystyka samobójstw i śmiertelności, warunki wstępowania w związek małżeński itd. itd., wszystko to są nawzajem wiążące się zjawiska, z których jedne zanikają, drugie występują lub przybierają wiadomą postać łącznie z rozwojem kategoryj ekonomicznych. Podział sił przyrody lub zakrzepłej pracy zmarłych pokoleń pomiędzy członkami społeczeństw, rozmieszczenie własności w kraju, charakter jego produkcyi, rolniczy, czy przemysłowy, formy wytwarzania — drobne, rzemieślnicze i chłopskie, czy też fabryczne i folwarczne—wszystkie te kategorye wykazują jaknajdonioślejszy wpływ na stan „moralny“ kraju. Co więcej, ów stan jest jedynie odzwierciedleniem tamtych. Taka zależność różnych stron pożycia społecznego od warunków materyalnych wyznacza każdemu, kto zechciałby skreślić stan jakiegoś kraju, jasno sformułowane postępowanie metodologiczne. Wypada przedewszystkiem zapoznać czytelnika z warunkami ekonomicznymi i materyalnymi: rozmieszczeniem ludności pomiędzy różne okolice, skreśleniem stosunku miast do wsi, z właściwemi im piętnami ekonomicznemi, zdrowotnością pojedynczych miejscowości, ustosunkowaniem płci w miastach itd. To wyjaśniłoby nam najzupełniej statykę „moralności“ i dałoby nić przewodnią do połączenia różnych stron życia społecznego—np. rozmieszczenia zbrodnictwa w przestrzeni. Następnie należałoby wyznaczyć drogę, którą kroczy rozwój stosunków krajowych—te siły ekonomiczne, które bankrutują i zanikają (bankructwo drobnych, żyjących z lichwiarstwa mieszczek, upadek stanu rzemieślniczego i drobnej szlachty zagonowej, jeszcze żwawiej postępujący upadek posiadłości folwarcznej); inne, które lubo w rozciągłości swej nie zanikają, lecz nadaremnie targają się w objęciach nędzy, jak stan włościański; inne wreszcie, które obiecują rozrost dalszy, np. produkcya fabryczna. Ta dynamika rozwojowa jednych, zanikowa drugich kategoryj ekonomicznych dostarczyłaby bezwarunkowo najlepszego klucza do zrozumienia dynamiki stanu moralnego. Czytelnikowi danoby od początku nić przewodnią do zrozumienia i powiązania pojedynczych faktów. Wprawdzie, w wielu razach niepodobna byłoby tego uczynić dla braku odpowiedniego materyału, lecz w wielu inych zależało to od p. B. Nie zrobił jednakże tego, i pomimo skrupulatnych studyów, do których usiedliśmy nad pracą p. B., mnóstwo szczegółów, częstokroć ważnych, wciąż ulatniało nam się z pamięci. Zgoła nie dziwilibyśmy się przeto, gdyby ktoś po przeczytaniu *Zarysów* wyszedł bez żadnego jaśniej zarysowanego pojęcia o stanie kraju.

Zresztą, jak nadmieniliśmy, zestawienie faktów, rozrzuconych po różnych, częstokroć niedostępnych dla naszego ogółu pracach, stanowi jedyną zaletę dzieła. Autor, będąc krańcowym zachowawcą, upstrzył pracę swoją wycieczkami przeciw bezwyznaniowości, pozytywizmowi, teoryi zaprzeczającej wolności woli itd. Stanowi on okaz nielicznego u nas, lecz wzrastającego hufca, znanego w Europie pod nazwą „zachowawczych społeczników,“ „socyalistów chrześciańskich.“ Ideałem jego to znany ustrój Playowsko-Hitzowski — wskrzeszenie układu feodalno-cechowego, lecz przybranego w szaty odpowiedniejsze dzisiejszej dobie, mianowicie w szaty państwa stanowego z ścisłą reglamentacyą produkcyi.

Ktokolwiek zechciałby zbadać stan kraju i miał cierpliwość nie zbłąkać się w labiryncie dat nieuporządkowanych, temu bezwarunkowo polecamy pracę p. B. Zauważymy kilka jej osobliwości. Niektórzy żydowskiego pochodzenia pisarze występują u niego stale z pisownią niemiecką, jakkolwiek sami podpisują się nazwiskiem spolszczonem. Tak Grosglik, figuruje jako Grosglück, Kramsztyk — jako Kramstück. Dałoby się także nieco powiedzieć o uwadze w rodzaju znajdującej się na str. 348 części II względem przełożonej na język polski pracy Iwaniukowa. Autor rzuca tu kilka słów z kropkami, które przypominają mi wcale niedwuznacznie pewne obwołane za „szlachetne“ postępowanie stańczyków galicyjskich.

*Krz.*

---

# LITERATURA I SZTUKA.

## WSZECHPOEMAT.

Nie nowy — w mózgu swego twórcy tułał się przez lat sześćdziesiąt i drugie tyle po literaturze całego świata, który go w spadku po Goethem otrzymał, a w poezyi wszechludzkiej stary jest, jak dramat myśli i bytu.

Dotąd jeszcze kwitnie kult Fausta i wśród nas żarliwych liczy kapłanów. Czy dlatego, że umysły polskie więcej posiadają krytycyzmu i przekładają dzieła sztuki, nieprześcignione w swym artyzmie, czy że są tępsze i głuchsze na zawroty i rozgałęzienia trawiącej refleksyi, a polot filozoficzny w jednej tylko rozumieją postaci—dosyć, że oglądają piąty z kolei przekład największej tragedyi nowszych czasów, a na tyle innych mniej może genialnych, ale świeższych duchem utworów czekać każą daremnie.

Szczęściem tłomaczenie, co takie dumy napędza, nie jest tak bardzo piątem kołem u wozu. Wyborny znawca Goethego, p. Ludwik Jenike, stwierdził ponownie, że go równie głęboko jak subtelnie pojmuje i odczuwa. A że jest sam pisarzem wytrawnym i dziwnie młodzieńczym, choć raczej do pokolenia klasyków niż romantyków lub realistów przystaje — więc tchnął w arcytwór dawniejszej, idealnej Germanii tyle życia, prostoty i naturalności, że się go czyta swobodnie i lekko, jak poemat rodzimy. Traf zrządził, że bezpośrednim na tem polu poprzednikiem ma Feliksa Jezierskiego i zrywa wszystkie owoce cisnącego się do głowy porównania. Tamten ma talent nawskróś niezależny, język oryginalny, niepochwytny jak mistyka Krasińskiego podniesiona do potęgi *n*, dotwarza na prędce całe słowniki „zamglawnych,“ „otchnionych“ wyrażeń i istot, ten dostraja się przedewszystkiem do tonu poety, którego spolszcza, wnika głęboko w ogólną jego logikę, nie utrudnia zrozumienia tego, co już samo przez się do krainy pojęć i bytów fantastycznych należy. Jezierski, jak go ktoś trafnie określił, z pierwszej części *Fausta* zrobił drugą i podjął się przyswoić nawet tę ostatnią, ów cudaczny chaos alegoryj i błysków poetyckich, wymykających się wszelkiemu domysłowi — i trudne zadanie spełnił, bo jest gruntownym filozofem, ma zmysł do metafizyki i cudowności, jakiego innym natura poskąpiła a wykształcenie nie zastąpiło. Jenike więcej poeta niż myśliciel, uchwycił się głównie dramatu miłości, odgadł jego prostotę i kryształowe formy i jak gdyby z tego punktu zapatrywał się na całość, oddał ją niewyszukanie i niezawiśle i w pierwszej tylko połowie. Wabiło go silniej to, co nęciło Gounoda, Jezierski zaś przypomina Boitowskiego Mefista z jego gmatwaniną motywów Wagnerowskich i jakimś szerokim, kosmicznym rozmachem. W jego więc przekładzie zasmakują lubownicy językowego nowatorstwa i pokonywania filozoficznych zagadek — a takich jest tutaj bardzo niewiele — podczas gdy Jenikego czytać będzie nietylko śmietanka, ale i średnie stany inteligencyi. Jest to i niższość i wyższość zarazem, a wyższość bezwarunkowa w oczach tych, co mają wstręt do łamigłówek i melodyj, w które się dopiero wsłuchiwać trzeba.

Przewaga to zresztą i dla wszystkich. Krainy i postacie fantastyczne nie tracą na uroku, jeśli zamiast w jedną spowite są w dwie mgły, jeśli obłok je otaczający cokolwiek zgęszcza się. Lecz są w *Fauście* miejsca, w których tkwi filozofia jasna, przejrzysta, w dodatku z uczuciem potężnem złączona i ta nie powinna razić kantami, ale gładko i jednolicie przenikać do duszy czytającego, pobudzać równocześnie jego myśl oderwaną i osobiste aspiracye, własne pożądania, słowem całą sferę podmiotową. Jeżeli środek i drugą część tragedyi przeplata materya z rodzaju pierwszego, czarodziejska i całkiem wymarzona, to początek i zarazem podwalina całej osnowy i akcyj składa się z treści rodzaju drugiego, wyraźnej, zdrowo filozoficznej i zarazem przejmującej. Męka dociekającego ducha, wypowiedziana w monologu naczelnym i obnażająca znikomość wiedzy i jej krótkowidztwo, prolog w niebie, gdzie szatan zakłada się z Panem, iż wydrze jemu i idei dobra—rozumnego doktora, rozmyślania posępne o własnej bezsilności w porównaniu z duchem, co go jeszcze przed Mefistofelesem odwiedza — oto są szerokie, wielkie płyty marmuru, na których wspiera się cały następny gmach poematu. Jenike ukazał je w całej sile i czystości, w całym blasku i majestacie i przychylnie usposobił czytelnika dla całego dalszego ciągu.

Drobiazgowa ocena traci swą racyę bytu, wobec faktu, że każdy nowy tłomacz *Fausta* ma drogę nietylko utorowaną, lecz i wygładzoną. Wszystkie zagłębienia treści wydobyto już dostatecznie na światło dzienne, można przebierać dowolnie między interpretacyami ważniejszych urywków i zwro-

tów. Tu już niema roboty czarnej, wykuwania figur z surowej bryły — bo jest już kika wyciosanych i choć nikt ich nie kopiuje, ale z doświadczenia, jakie swym mistrzom dały, korzysta. Wszechpoemat Goethego stał się poniekąd dla ogółu poetów-tłomaczów szczytem akademickim, jak pewne tematа w malarstwie. Kusi swym ogromem, różnobarwnością treści od poziomej i sprośnej jak w *Nocy Walpurgii* do wzniosłej bez miary, jak w odzie do Boga, którą Faust uspokaja obawę Małgorzaty o bezbożność; od lekkiej i powiewnej jak w gruchaniach miłosnych do pełnej dyalektyki uszczypliwej w szyderstwie szatana lub rozmowie jego z uczniem. Przesuwają się na przemiany najrozmaitsze rodzaje wiersza, rymowany i biały, poetyczny i operetkowy, albowiem są tu oratorya Haydna i cyniczne śpiewki Offenbacha, lubieżne tańce i idealna miłość, lot orli i pełzanie ślimaków, świetlane przestworza niebios i czarne czeluście piekieł, toczone kształty rzeźb Fidyaszowych i odrażające kościotrupy czarownic, wonie kwiatów arkadyjskich i smrodliwe ciecze Łysej góry — a do wszystkich tych odmian i skal, do wszystkich barw i poziomów duchowych, temperamentów i uczuć, farsy i tragedyi, wszechrozumu i arcygłupoty zastosowany jest po mistrzowsku wiersz, tak giętki pod piórem poety, jak złoto w rękach Benvenuta Celliniego. Nie dziw, że lepsi estetycy, wychowani nie na teatralno-recenzyjnej frazeologii, ale na rozległych ideach poezyi i filozofii zrobili sobie z tego labiryntu motywów genialnych wzór do opracowywania, że go w tylu egzemplarzach przenieść chcą na ziemię rodzinną.

Owej pstrociznie formy zewnętrznej Jenike uczynił zadość z wielką zręcznością. Zapewne purysta dostrzeże u niego kilka lub nawet kilkanaście zdań mniej harmonijnych, jak np.:

Nasamprzód chciałbym cię koniecznie
W wesołe towarzystwo *wszyć*.
(*Piwnica Auerbacha*)

albo:

Więc powiedz: jak tam *w punkcie* wiary stoisz,

kiedy, jak wiadomo, język nasz jeśli już używa tego barbaryzmu, to w formie zmienionej: *na* punkcie;

lub wreszcie:

Czemu szczęście *migiem* kona
(*w więzieniu*)

ale sama ta okoliczność, że podobnych pośliznięć szukać po książce i mozolnie je wyłaniać trzeba, świadczy, iż nie rażą i w potopie zwrotów udatnych — nikną. Z niemałem powodzeniem tłomacz używa rymów męzkich, zadając tem kłam oklepanemu przesądowi, iż mowa polska do nich się nie nadaje.

Takim probkom, jak:

Słońce, z bratnich sfer orszakiem
Po dawnemu wiedzie chór
I wytkniętym krocząc szlakiem,
Gromowładny budzi wtór.
Nikt określić go nie może,
Choć w niem siła nasza tkwi,
Niepojęte dzieło Boże
Wielkie są, jak pierwszych dni
(*Prolog w niebie*),

albo jeszcze:

Zdala, z poza bramy krat
Barwny wciąż się tłum wyłania,
Każdy się przechadza rad,
Święcąc dzień zmartwychpowstania,
Bo też z zadusznych swych poddaszy tam
Naprawdę zmartwychpowstał sam — itd.
(*Za bramą miejską*),

nie zarzucić nie można.

Z tem wszystkiem o przekładzie dość. Mniej czy więcej wykończony, jeśli tyle zalet posiada — wdzięczną na się zwraca uwagę. Lecz samem swem ukazaniem się grozi, iż na wieki wieków przeciągnie wiarę w niespożytość siły symbolicznej oryginału; w niejednym umyśle Faust i Mefisto królują wyłącznie, jak niegdyś w Rzymie konsulowie i nie dopuszczają idej żywotniejszych, postaci młodszych w dziejach literatury, ale też ogniskujących w sobie ideały świeższe, w tym samym kierunku reflexyi i analizy dalej rozwinięte. Bohaterowie, których stwarza geniusz wieszcza lub artysty, choćby dla najbystrzejszego oka byli bez wad w swem pięknie, z czasem przeżywają się; potomność podziwia ich ciało, ale przestaje rozumieć ducha, bo sama w nim przejrzeć się, swych bólów i radości, żalów i nadziei odczytać nie może. Im szybciej płynie historya, tem jawniej maleje urok takich zwierciadeł, zdolnych do powtarzania, a nawet wyprzedzania swej epoki — ale tylko swej. Każdy wiek następny, każdy dziesiątek lat urywa im kawał wziętości i potęgi, wycofywa z obiegu, a wciela do artystycznej tradycyi. Wreszcie między potomnością a przekazanem jej arcydziełem rozwiera się otchłań różnic, którą zapełniać musi komentarzami: bez nich będzie jak owe dzieci, którym na kolendę dają Don Kiszota, jak owe tłumy, które czytają go dla humoru, a nie pojmują, że to postać szanowna, pomyślana również głęboko jak Hamlet Shakespeare'a, jeno nie dla nas napisana...

I *Faust* niegdyś omszeje i pleśnią się pokryje, a wówczas tylko smakosze dobrze spoufaleni z historyą ideałów, potrafią go ocenić. Proces starości już się rozpoczął — ale dlaczego?

Nie dlatego, bynajmniej, że, jak woła Du Bois-Raymond, przyrodnicza fantastyczność jego nie wytrzymuje krytyki, że jest z sobą niezgodna, że sam Goethe jest przecenioną jak na dziś wielkością; nie dlatego też, że znakomity Vischer i inni trzeźwi wielbiciele wydrwiwają pedantów, co w każdym luźnym lub nawet bezmyślnym szczególiku, w każdej przenośni *Fausta* widzą doniosłe aluzye — nie. Kochanek Małgosi a krnąbrny sprzymierzeniec dyabła zaznaczył *brzask* aspiracyj poetycznych, które później zajaśniały pełnym *dniem*. W nim wzięła początek rzeka, która wkrótce wchłonąć miała wiele dopływów szerokich i wartkich i po dziś dzień toczy bystre, coraz bystrzejsze fale. Źródła pierwotne pozostały w tyle.

Innemi słowy, Goethe młody, Goethe jeszcze rozłamany we wnętrzu swem, skupił w *Fauście* zwątpienie, przesyt i skargi na niedołęstwo umysłu ludzkiego wobec męki poznania. Zbuntował mędrca przeciw dodatnim mocom świata, kazał mu szukać zapomnienia w uciechach ziemskich — ale w sercu jego zachował wiecznie tlejące poczucie boskości, nienawiść dla złego, dumę i niezawisłość od pokus nikczemnych. Tym sposobem zapewnił tryumf Bogu w zakładzie z duchem pomroki, z walki z negacyą idea wyższa, budująca wyszła zwycięzcą. Po burzy namiętności nastaje pogoda, po rozdźwiękach — harmonia, po błędach i upadku — przebaczenie. Idealizm niemiecki zrobił swoje. Czar równowagi greckiej rozwiał fermenty w duszy Goethego i wystraszył „duchy wiecznego przeczenia.“

Ale ludzkość do obrazów jasnego nieba przywykła, bo ich całe galerye znajdowała w kulturze helleńskiej. Zresztą przestała je pojmować. Rozbudzony krytycyzm społeczny i filozoficzny upajał się nie wiarą Fausta, lecz jego niewiarą i pychą prometejską, a więcej jeszcze cynizmem i zuchwalstwem władcy piekieł. Romans całkiem odstąpiono muzyce, Mefistofeles stał się ulubieńcem wszystkich myślicieli-poetów, lecz nie na zawsze. Zasępiła się literatura tak czarną rozpaczą, ośmieliła do tak bezkresowej analizy, zagrzmiała takim protestem, nietylko w słowach, ale i w czynach i w życiu całem pisarzów, że ciemna sylwetka Goethowskiego demona zszarzała, a Fausta — zblakła.

Jakie to postacie i jaka atmosfera tak je przyćmiła? Może i warto zobaczyć...

*N. Hirszband.*

## LITERATURA POLSKA.

Hugo Zathey *Młodość Bohdana Zaleskiego* (1802—1830), Kraków 1887. Str. 80. Wydanie drugie. Nakład Żupańskiego i Heumanna.

W żadnej może dziedzinie naukowej nie panują tak wielkie różnice zdań i poglądów, jak w krytyce literackiej. Mimo nieustających badań, mimo ciągłej a niesłychanie płodnej działalności na tem polu poważnej liczby pracowników, mimo oświecania jej ze wszech stron światłem najróżnorodniejszych przekonań i poglądów, kwestya metody w dziedzinie poszukiwań krytycznych stanowi ciągle jeszcze węzeł sporny, nad którego rozwikłaniem pracuje nauka. Jak wszędzie, tak i w tej dziedzinie praca myślicieli zdobyła już pewne dane, pewne zasadnicze wytyczne, których dzisiejszym badaczom pomijać nie wolno, jeżeli dążą naprzód z duchem i postępem wiedzy, a uwzględniają racyę bytu poszukiwań naukowych. Do ominiętych już stanowczo i na zawsze dróg należy owa metoda romantyczno-sielankowa, polegająca na rozpływaniu się w sentymentalizmie i czczych wynurzeniach zachwytu nad tem, co, uznane i dostatecznie ocenione, uwielbień tych nie potrzebuje. Tylko umiejętna krytyczna analiza i ściśle przedmiotowa charakterystyka trzymająca się danych pozytywnych może dziś wskazać ogółowi w czem właśnie leży źródło słusznie cenionych zalet tego lub owego utworu. Frazeologia, poetyczne określenia ludzi i dzieł, fejletonowa lekkość w traktowaniu zarówno treści jak i formy literackich utworów, zwolna ustępują dziś miejsca metodzie pozytywnej. Tu i owdzie pojawiają się jednak i dziś jeszcze prace, które dziwny rozdźwięk stanowią w tym szeregowanym łańcuchu dorobków krytycznych ostatniej doby.

Do zagonów tej niwy, uprawianej przez szkołę zachowawców, należy drobna rozprawa o Zaleskim p. Hugona Zatheya. Zdawaćby się mogło, że sam przedmiot tyle wdzięczny a tak mało wyzyskany, dostarczający autorowi poddostatkiem materyału, skłoni go do troskliwego opracowania, czem prawdziwą byłby oddał przysługę literaturze. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Autor, zaliczający się do szkoły krakowskiej, która w idealizowaniu postaci sympatycznych sobie pisarzów widzi ostateczny cel krytyki, zaraz na wstępie zastrzega, iż nie myśli iść w ślady drogi nowej. Unicesiony świętem oburzeniem woła: „Potrzeba nowego Herkulesa, żeby tę stajnię uprzątnął, nowego Mickiewicza, żeby schłostał tych krytyków i recenzentów warszawskich i niewarszawskich.“. I jak poeci starożytni wzywali muz do pomocy, przy rozpoczęciu dzieła, tak p. Zathey wzywa swych czytelników, aby się otrzęśli z „pleśni czasów dzisiejszych“ i wskrzesili w sobie „iskrę miłości i świętego zapału.“

Po takim wstępie czytelnik z góry domyśla się, co znajdzie w pracy p. Zatheya. Kreśląc dzieje młodości Zaleskiego, nie zajmuje się autor zupełnie datami i szczegółami biograficznymi, ściśle w związku z przedmiotem zostającymi, nie obchodzi go rodowód Zaleskiego, wiadomości o rodzicach, wogóle starannie unika wszelkich dokładnych pozytywnych wiadomości. Nadmienić tu wypada, że wówczas, gdy autor pierwsze wydanie swej pracy ogłaszał (w maju 1886) wyszło już z druku wspomnienie S. Duchińskiej, przedstawiające wiele niepodniesionych przez p. Z. a dotąd nieznanych szczegółów z życia Zaleskiego, tudzież studyum p. Chmielowskiego (*Studya i szkice*,

tom II), gdzie te wszystkie szczegóły wyczerpująco zostały wyjaśnione. Dopiero na końcu swego szkicu w dodatku usprawiedliwia się z tego p. Zathey, tłomacząc braki te „dziwnym i złośliwym zbiegiem okoliczności.“ Całe opowiadanie utrzymane jest w tonie gawędy napuszonej górnolotnymi frazesami i entuzyastycznem uwielbieniem dla poety. Miejscami zapuszcza się autor na pole krytycznej oceny kilku utworów z pierwszej doby twórczości Zaleskiego, ale próby te wydają nader niekorzystne świadectwo o jego krytycyzmie. Tak np. „Dumkę Mazepy“ określa jako „powtórzenie ukrytych w głębi serca dumań i myśli“ a niebawem mieni Zaleskiego za ten sam poemacik malarzem historycznym, wybornie umiejącym pochwycić fizyognomię ludzi i czasów. Niekonsekwencya sądu daje się również zauważyć w pobieżnych rozbiorach kilku innych utworów Zaleskiego, którym próżno usiłuje autor nadać cechy głębokości.

Już to wogóle p. Zathey zdaje się należeć do tych, którym naukowa ścisłość sprawia zawrót głowy; woli on lekko ślizgać się po wierzchu każdej poruszonej kwestyi zwłaszcza takiej, któraby go zmusić mogła do wyraźnego oświadczenia się za jakim naukowym poglądem. Wspominając z konieczności o obozie klasyków, tak charakteryzuje stanowisko poety: „Zaleski nie troszczył się zgoła o zacietrzewioną walkę i śpiewał sobie z pogodnym umysłem w zaciszu jak skowronek, jak słowik, jak Bojan niekiedy.“ I to jest wszystko, co o stanowisku Zaleskiego p. Zathey umiał powiedzieć. Na roku 1830 zamyka swe opowiadanie.

Jako ćwiczenie stylistyczne wykazało ono pewną łatwość pióra i stylu, jako poważniejsze zaś studyum krytyczne, za jakie je okrzyczeli pp. Tarnowski i Koźmian, wydało p. Zatheyowi świadectwo nieudolności krytycznej i wielkiej niestaranności w gromadzeniu materyałów. Działalność literacka pisarzów ocenia się dziś na podstawie dokładnej znajomości warunków czasu i miejsca, tudzież wpływów, jakie oddziałały na jego rozwój i kierunek— i dziś żaden szczegół z życia nie może być krytykowi obojętnym. Płytko rozlany strumień ogólników nieumotywowanych nie może już być uważanym za przyczynek do historyi literatury.

*W. P.*

---

Adam Nowicki. *Czy pamiętasz?* Szkic z życia. Kraków, 1887.

Jednem z pierwszych zagadnień, zaprzątającem zwykle poczynającego powieściopisarza, poetę lub artystę, jest prawie zawsze dramat samego początkowania, tajemnicza istota talentu i powodzenia. I p. Nowicki należący, o ile wnioskować można, do ochotników tej licznej armii, wdaje się w melancholijne refleksye nad zgubnym wpływem niewytrwałości i braku namaszczenia, a jakby na poparcie ich rozwija smutny widok zmarnowanych zdolności. Poeta, który zabłysnął niegdyś jak meteor wybornym utworem scenicznym i jak meteor zgasł, spodlił się następnie w knajpie. Kochała go kobieta również rwąca się do wyższych sfer ducha; łudzona obietnicami zaniechała szerszych planów wykształcenia talentu muzycznego; niezachwiana w wierze i miłości czekała, aż się narzeczony wyrwie z występnego koła, pewna, że popędy wyższe zwyciężą. Wspierała go tymczasem krwawo zapracowanym groszem a nie spostrzegła, że pan jej uczuć przygotowuje się do zaślubienia ordynaryjnej, lecz bogatej właścicielki kawiarni. W chwili rozstawania się, gorącym wylewem uczuć i wspomnieniem pierwszych dni miłości wzajemnej, zdawało się, że ocaliła już upadłego i wywołała w duszy jego postanowienie zerwania haniebnych węzłów; ale... namowa i pochlebstwa wesołych towarzyszów z bilardu w kilka godzin potem doszczętnie zatarły ślady nawrócenia. Restauratorka została uszczęśliwioną a biedna dziewczyna tylko niżej zgięła się pod ciężarem nielitościwego zawodu i dalej posępne życie wlokła.

Obrazek maleńki, ale ponury; zrodził go widocznie umysł jeszcze nieskrystalizowany zupełnie, wrażliwy na niedole i z niemi nieoswojony — inaczej nie opłakiwałby wypadku tak częstego w świecie, jak chmurne dni w jesieni polskiej. Ale może dlatego właśnie, że ballada to jakich wiele, robi pewne wrażenie; zresztą odznacza się wyrazistością i plastycznem przedstawieniem. Za skromna jest zaś, by wymieniać jej usterki stylu lub układu. Chwilami możnaby sądzić, że nagłówek „szkic z życia“ nie jest szablonowym dodatkiem, lecz opiewa prawdę. Gdyby to nawet było złudzeniem w każdym razie świadczyłoby na korzyść autora.

*Cez. Jel.*

---

## KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

**Z astronomii.** Zmarły przed kilkoma laty znakomity astronom włoski, ksiądz Secchi, zadziwił swojego czasu cały świat naukowy twierdzeniem, że średnica słońca ulega bardzo silnym wahaniom. Bliższe zbadanie sprawy miało wówczas wielkie znaczenie, albowiem od niego, przy sposobności mającego nastąpić przejścia planety Wenus przez tarczę słoneczną, powinien był zależyć wybór stanowisk obserwacyjnych. Zaraz potem przedsięwzięte przez Amoers i Fugha obserwacye nie potwierdziły jednak teoryi Secchiego. W ostatnich zaś czasach Amoers uczynił je ponownie i tym razem doszedł do pewności, że owe wrzekome zmiany w długości średnicy miały za jedyną przyczynę niedokładności w wymiarze, uczynionym przez wspomnianego włocha.

**Siła światła słonecznego.** Wiedeński fizyk i astronom, F. Exner, porównywał niedawno natężenie światła słonecznego z natężeniem światła świecy stearynowej, idąc w tym razie za przykładem Wollastona, który już dawniej badania podobne przedsiębrał, oraz Williama Thomsona, który je powtórzył lat kilka temu. Exner używa metody dosyć prostej. Osłabia rozmaitymi sposobami światło słoneczne tak, ażeby stopień jego redukcyi łatwo można było obliczyć — a otrzymawszy już względnie łagodne, porównywa ze światłem świecy. Doszedł zaś do wyniku, że nawet we dnie najbardziej pogodne siła światła słonecznego bardzo się chwieje i wskutek tego można brać tylko miarę przeciętną. Wedle tej, światło środkowych promieni widma słonecznego wyrównywa światłu 50,000 świec długości jednego metra. Jeśli wziąć pod uwagę odległość ogniska naszego systematu, wypadnie, że światło słoneczne mogłoby być zastąpione przez liczbę świec normalnych, jaką otrzymamy z podniesienia 10-u do potęgi 27-ej ($10^{27}$). Wymiar szczegółowy wykazał dla środkowych promieni w miesiącu maju jasność 270,000 razy większą od jasności świecy normalnej — toż samo w czerwcu, zaś w zimie tylko 67 tysięcy. Ilość ciepłoty otrzymana z jednego centymetra kwadratowego powierzchni słonecznej w lecie równa się:

| | | |
|---|---|---|
| dla prom. czerwonych — | ciepła | 18,900 św. |
| „ „ zielonych | „ | 67,500 „ |
| „ „ niebieskich | „ | 162,000 „ |

**Trzęsienia ziemi.** Wiosna tegoroczna przyniosła wielu krajom wiele wzruszeń, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Zapisujemy ważniejsze z nich:

5-go kwietnia donoszono z Adenu (Arabia), że w ostatnich dniach zdarzyło się aż kilka dosyć silnych wstrząśnień ziemi.

11-go kwietnia także sama wiadomość nadeszła z Charleston i Burlington (Vermont).

13-go kwietnia zauważono mocne wstrząśnienia w Lizbonie, oraz na Malcie.

15-go kwietnia miejscowość Santa-Flavia w Sycylii nawiedzona była przez bardzo gwałtowne wstrząśnienia, wskutek których runęła w gruzy bardzo znaczna liczba domów.

W nocy z 22 na 23 kwietnia po godzinie 12-ej ujęci w najlepsze snem, przebudzeni zostali mieszkańcy miasta Feldkirch w Tyrolu bardzo wyraźnem wstrząśnieniem, które powtórzyło się dwa razy.

28-go kwietnia po godz. 3-ej wyspy Jersey i Guernsey doznały silnego wstrząśnienia, któremu towarzyszył łoskot podziemny, podobny do grzmotu; kierunek drgnień był z południo-zachodu na południo-wschód.

Zaraz nazajutrz, tj. 29 kwietnia po południu około godziny 6-ej, zdarzyło się trzęsienie ziemi w miejscowości Stolac w Bośni i trwało 3—4 sekund i szło ze wschodu na zachód.

W pierwszych dniach maja dostrzeżono silne wstrząśnienia w rozmaitych miejscowościach Peloponezu zachodniej Grecyi.

3-go maja rano przed godz. 4-tą w miejscowości Forli w Apeninach etruskich zdarzyło się trwające aż kilka sekund silne wstrząśnienie faliste.

W tymże samym dniu zachodnia i południowo-zachodnia Ameryka mocno ucierpiały z powodu nader poważnych wstrząśnień, idących ku oceanowi Spokojnemu. Ludność wielu miast, jak Centreville w Kalifornii, jak Tuscon, Tombstone, Phönix Globe i Benson w Arizonie, jak Guamyas w Meksyku i inne, uległa panicznemu strachowi i nie dziw — runęła niemal cała góra Świętej Katarzyny pod Tuscon i olbrzymie tumany kurzu zaćmiły słońce. W odległości 10 mil od Tombstone w ciągu dwudziestu minut wyschło doszczętnie jezioro obszaru jednej morgi. Mniemano wszędzie, że nastąpił wybuch wulkanu — takie kurzawy unosiły się w powietrzu i w rzeczy samej 5 maja pisano, że w odległości 20 mil od miasta Benson utworzył się krater wulkaniczny, który podobno nie próżnuje wcale. W Meksyku katastrofa przybiera jeszcze większe rozmiary. Tam zburzone zostało miasto Montezumo, a 150 mieszkańców znalazło śmierć w gruzach. W m. Oputa toż samo spotkało 20 osób. Pomijamy bardzo wiele innych wypadków wstrząśnień i połączonych z niemi klęsk — w tej samej części świata.

Falbowi dały one pochop do kilku ważnych spostrzeżeń i wniosków. Przedewszystkiem mniema on, że wszystkie ostatnie wyliczone kataklizmy miały wspólną przyczynę, co zdaje się znajdować potwierdzenie we współczesności wstrząśnień greckich i włoskich — a to tem bardziej, że dniem później nastąpiło porównanie dnia z nocą, we dwa dni później największe zbliżenie ziemi do księżyca, a w cztery dni jego pełnia. Wszystko to musiało wywołać spotęgowanie działania wód morskich.

Jeszcze 10 maja Meksyk nie miał spoczynku. Podróżni opowiadali o wielkich rozpadlinach w ziemi, długich na 25 mil i o zrównanych z ziemią pagórkach.

**Owadochwytna roślina.** Znakomity biolog niemiecki, Johann von Fischer, zwraca uwagę na ciekawą właściwość rośliny *plumbago capensis.* Dopóki jego jasno-niebieskie, nadzwyczaj efektowne kwiaty są w pełnym rozwoju, dopóty bywają dla zwiedzających je owadów całkiem niegroźne. Gdy jednak rozpoczyna się opadanie kwiecia, a nawet na krótko przed niem, kielichy, uzbrojone rzadkimi i krótkimi kolcami, wypuszczają z siebie jakąś lepką ciecz, do której wiele owadów, przeważnie dwuskrzydłych i błonkoskrzydłych, lgnie i w ten sposób kończy życie. Częstokroć udaje się spostrzegać nawet osy i pszczoły robocze, przylepione do

kielicha lub z wnętrza ich wieszające się, bądź całkiem nieżywe, bądź dogorywające. Ponieważ kwiaty znajdują się bardzo blizko siebie, a po okwitnieniu łatwo razem z kielichami od łodygi oddzielić się dają, przeto przylepiona w powyższy sposób pszczoła lub mucha, trzepocząc skrzydłami, dotyka kwiatów sąsiednich, przylepia się do nich, zrywając jednocześnie. Im ruchy są częstsze i gwałtowniejsze, tem liczba dotknięć większa i w końcu biedne stworzenie ginie uwięzione między liśćmi, których zrzucenie przewyższa jego siłę.

**Ukryty geniusz.** „Stowarzyszenie filozoficzne" w Berlinie rozpisało wielki konkurs na dzieło o znaczeniu filozofii Hegla, a szczególnie jego metody dyalektycznej. Kilka tygodni temu wydano sąd o nadesłanych pracach. Sędziowie Lasson, Michelet i Frederichs uznali za najlepszą sążnistą rozprawę, przysłaną z węgierskiego miasta Zombor. Obejmuje ona, ni mniej ni więcej, tylko osiemnaście arkuszy druku. Ale co jest tu najbardziej zaciekawiającem, to opinia wydana o niej, a zawarta w następnych słowach: „Stowarzyszenie filozoficzne poczytuje sobie za zaszczyt, że dało pobudkę do tej pracy." Jednocześnie prosi ono autora, „którego genialny umysł w najwyższym stopniu zainteresował całe grono sędziów konkursowych," ażeby przekazał mu swoje dzieło do opublikowania, sekretarz zaś konkursu, radca Meineke, pisał do szczęśliwego laureata: „Wyznać muszę, że rzadko kiedy przy czytaniu dzieła nowszych czasów ogarnia mię podobny podziw, że gdym zaczął przewracać pierwsze karty, odrazu oszołomiony zostałem formalnie genialnością twórcy. Swoim energicznym wykładem książka stworzy epokę." Ale tu wrażenie się nie kończy. Okazało się w następstwie, że nagrodzony nie jest żadną patentowaną wielkością, ale skromnym pisarzem sądowym w Zombor, nazywa się Eugeniusz Schmitt i znany jest z kilku poprzednio w języku węgierskim wydanych studyów filozoficznych. Bądź jak bądź, niesłychanie ciekawą jest rzeczą, co w przyszłości literatura filozoficzna mówić będzie o tym świetnym meteorze, przebiegającym drogę, którą tyle już odbyło? Co nowego powiedzieć mógł o Heglu i czem tak trafił do serca profesorów niemieckich?

*H.*

---

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Obrachunek dwu obozów w Galicyi. — Umiarkowany opór.—Gospodarstwo stańczyków.— Czego chcą i dokąd dążą. — Na Szlązku. — Jedyna idea. — Podjazdy liberalizmu. — Walna bitwa. — Metoda szkalowania. — Brak maczugi.— Lżenie sufraganem.—Dar jubileuszowy dam warszawskich dla papieża.—Śliczny wzór do dywanu. — Racya bytu stańczyków.

W Krakowie odbył się publiczny "obrachunek" dwu dzienników, występujących jako przedstawiciele dwu stronnictw—konserwatywnego i liberalnego. Żywioły te na gruncie galicyjskim posiadają swój odrębny smak, zapach i odżywczość. Pierwszy czerpie swe soki z warstwy interesów arystokratyczno-klerykalnych, drugi — z mieszczańskich. Chodzi im zaś nie o widnokręgi rozległe, nie o teoretyzacyę socyologiczną, nie o zasady ogólne, ale o kuratorstwo nad ubezwłasnowolnioną, wynędzniałą i ogłupioną dewotką—Galicyą. Stańczycy mają pieniądze, wpływy, władzę, a więc odnoszą ciągłe tryumfy, wyzyskując je z całą bezczelnością egoizmu. Ich przeciwnicy nie posiadają tych środków, więc odnoszą ciągłe porażki. Nie mogą nawet głośno krzyknąć, bo ile razy jakiś artysta liberalizmu galicyjskiego weźmie wysoką nutę, albo ująwszy skrzypce dziennikarskie, zagra pieśń żalu lub zgrozy, natychmiast prokuratorya zatka mu usta i na jego struny nałoży tłumnik. Wyznać trzeba, że do łagodnych tonów w Krakowie przyzwyczaili ją sami reformiści, którzy porażeni siłą i olśnieni blaskiem swych pogromców, zdobywali się jedynie na nieśmiałe protesty i pomrukiwania. Dzięki temu odporowi rozparła się w Galicyi najzuchwalsza i najsamolubniejsza klika, jaka kiedykolwiek zagarnęła pod siebie losy kraju. Zmartwychwstały czasy naszego upadku politycznego, możnowładcy z bandą swych służalców i popleczników opanowali wszystkie wydatniejsze stanowiska — poselskie, administracyjne, sądowe, szkolne, potulnym wołom do jarzma niewoli dołączyli jeszcze bat własny i zaprowadzili gospodarkę niszczącą, egoistyczną, bezlitosną. Stańczycy nietylko rządzą w Galicyi, oni ją znieważają. Wiadomo, jak sponiewierali uczucia narodowe w *Tece*, wiadomo, jaką wzgardą obryzgują mieszczan i lud, wiadomo, jak hr. Tarnowski opatentował szlachtę w swych „porcyach," teraz znowu zabrał się do księży nieprzyjaznych Zmartwychwstańcom (na emigracyi) i w *Przeglądzie polskim* nazwał ich „mętami," „fałszerzami banknotów" itp. Właściwie zatem oprócz arystokratów i związanego z nimi bezwzględnie kleru, wszystkie żywioły społeczne są podłą kanalią, która czasem buntuje się przeciw swym panom, ale skopana, zelżona, obita, wraca do posłuszeństwa, od którego ją odciągnęli pokątni doradcy i warchołowie. Tak się rysują „przedstawiciele narodu polskiego," „jedyna partya, która umie działać i wie jasno, czego chce i dokąd dąży." Czego zaś chce i dokąd dąży — widzimy z materyalnej i umysłowej nędzy kraju i z tej poddańczej roli, jaką jego przedstawiciele odgrywają w parlamencie, podściełając się rządowi, który na nich sobie nogi wygrzewa. Nie cofając się zbyt daleko wstecz, dla scharakteryzowania tej niecnej działalności, przytoczymy świeżą skargę, jaka odezwała się w *Kraju* petersburskim ze Szlązka austryackiego. Korespondent donosi, że równolegle z wrostem wpływu Koła polskiego na losy państwa rośnie także germanizacya tej dzielnicy. „W samym Cieszynie — powiada — mniej słychać po polsku, aniżeli jeszcze przed kilku laty. Żywioł niemiecki wziął tu stanowczo górę. Prasa narodowo-polska zeszła więcej na niziny ludu polskiego, do którego też i niemczyzna słabiej dociera." Ale i to słaba pociecha, gdyż owę pracę na nizinach dławi stańczyk. Gdy *Gwiazdka cieszyńska* odważyła się powiedzieć, że siła narodu polskiego spoczywa w ludzie, *Czas* krakowski „rzucił na nią formalną klątwę, wzywając jej abonentów galicyjskich, księży i szlachtę, ażeby przestali ją abonować." Według korespondenta, na Szlązku katolicy, prowadzący ustawiczną walkę z ewangielikami, nie dorównywają im we wszystkich kierunkach życia społecznego: ich instytucye są martwe, pisma zaśniedziałe, wydawnictwa fanatyczne. Istnieje tam np. stowarzyszenie dla szerzenia książeczek ludowych, ale „zdaje się, jakoby dążność katolicka przewyższała w niem dążność narodową." Mają pieniądze z zapisu dobroczynnego, za które chcieliby w Cieszynie założyć szkołę czteroklasową, ale przewodnik szlązaków, zasłużony ks. Świeży, członek Rady państwa, daremnie żebrze o łaskę, gdyż „rządowe stronnictwo galicyjskie w Kole nie posiada ani krzty serca dla cierpień narodowo-polskich na Szlązku." Jest jedna tylko idea, którą stańczycy wyznają i szanują — idea kosmopolitycznego legitymizmu, opartego na możnowładztwie i hierarchii kościelnej. Po za granicą tego Koła — patryotyzm, ofiara obywatelska, sprawiedliwość ekonomiczna, oświata, moralność, materyalna i duchowa siła narodu — wszystko są to dla nich czerwone chorągiewki warchołów, niegodne powiewać obok ich białego sztandaru. Światem rządzić powinien stojący przy tronie możnowładca i dostojnik kościelny, reszta ma tylko dostarczać krwi dla ufarbowania ich purpur.

Ośmieleni brakiem dostatecznego oporu stańczycy zasadę tę przeprowadzili w Galicyi z całem zuchwalstwem i konsekwencyą. Wytworzyli wszechwładny patrycyat, który po prostu lekceważy sobie słabowitą demokracyę. Ona go nigdy nie przeraża, co najwyżej rozdrażnia, a najczęściej śmieszy. Dopóki społeczeństwo albo słucha dobrowolnie wielkopańskiej komendy, albo nie uświadomiło sobie możności i potrzeby zlamania jej, dopóty sztab stańczykowski drwić będzie z odosobnionych i bezsilnych protestów i krzyku trybunów. Będzie to dla niego *vana ira sine viribus*. Zauważyć przytem należy, iż liberalizm galicyjski, chociaż podgryzał korzenie tego dębu, nigdy go nie usiłował piorunem roztrzaskać, ani w życiu praktycznem, ani w prasie nie stoczył walki wielkiej, rozstrzygającej, lecz poprzestawał na podjazdach. Dopiero teraz pokusił on się o coś w rodzaju walnej bitwy. *N. Reforma*, uznawszy, że uchwyciła wyborną sposobność uderzenia na przeciwnika, wywiesiła na swej chorągwi obronę spotwarzonych przez hr. Tarnowskiego księży-wychodźców i zaczęła ostrzeliwać twierdzę stańczyków. Że strzały były skuteczne, dowodem zdemontowanie głównej armaty, niezmordowanie siejącej oszczerstwem i denuncyacyami — *Czasu*, który umilkł. Rozpłatano głęboko sumienie grzesznika i wydobyto zeń duży worek zgnilizny moralnej. Okazano mu, że był zawsze lokajem panów, szkodnikiem w sprawach dobra publicznego, potwarcą i kłamliwym oskarżycielem. Ponieważ i my nieraz ten ostatni zarzut robiliśmy mu lub robić będziemy, warto czytelnika poznajomić z denuncyatorską metodą *Czasu*. Nie wchodząc nigdy w przedmiot sporu, stara się on pokonać przeciwnika przyklejeniem na jego plecach kartki, polecającej go opiece policyi. Do tego celu służą mu zwykle wyrazy: socyalista, nihilista, rewolucyonista, wróg obecnego ustroju społecznego, agitator itp. W polemice z każdego słowa wykręci raport policyjny. Tak np. *N. Reforma* pisze: „Czy wy (stańczycy) wiecie, ile nocy bezsennych a odpoczynkowi odjętych musiano poświęcić, zanim powstało pierwsze stowarzyszenie rzemieślnicze." Myśl jasna, ale w wyrażeniu jej *Czas* chwyta „noc" i powiada, mrugając na straż bezpieczeństwa publicznego: „O *nocnych* mówicie *pogadankach* z rzemieślnikami; być może, że się odbywają, ale ich skutek, na zewnątrz niewidoczny, *może ma cele tajemne.*" Czy nie „schlechte Subjecte?"

Powtarzamy— niewątpliwie akt oskarżenia, odczytany przez *N. Reformę* stańczykom, jest zasadny i na faktach oparty, ale tak jak wszystkie jej ataki przedstawia torebkę drobnych kamyków. Maczugi Herkulesowej w nim nie widzimy, a ona jest niezbędną dla zabicia stymfalińskich ptaków. Liberalizm galicyjski, zdaniem naszem, jeśli chce wstrząsnąć śpiącą masą społeczną i jej smoków pokonać, winien przenieść walkę na pole szersze, na pole zasad ogólnych, a nie tarmosić się w sporach o towarzystwa zaliczkowe i straże pożarne. Trzeba byka porwać za rogi i powalić, zamiast go drażnić rożkiem czerwonej chusteczki. Niestety, siłacza takiego postępowcy galicyjscy nie posiadają.

Między różnymi wymysłami *Czas* ugodził *N. Reformę* zarzutem, że jest ona gorszą nawet od... *Prawdy*, przyczem pismu naszemu dostał się jeden z wymienionych wyżej „epitetów zdobiących," którymi organ krakowski znaczy dla policyi niebezpiecznych. Trudno podejmować polemikę, którą trzebaby prowadzić nie tak cienką obsadką, jaką te słowa piszę; zauważę więc tylko, że owo lżenie *Prawdą* przypomniało nam chłopa Sienkiewiczowskiego, który lżył przeciwnika... sufraganem.

Według jednego z naszych *Kuryerów* Leon XIII dostanie na swój jubileusz od dam warszawskich wspaniały dywan, którego wzór ma się składać z samych kwadratów. Szkoda! Niedawno w Berlinie odbito fotografię, na której ks. Bismark w ubraniu papieskiem błogosławi, Leon XIII zaś w mundurze kanclerskim stoi za nim. Podpis tego obrazka: „jedna miłość warta drugiej.“ Otóż czy ta scena maskaradowa nie byłaby właściwszą a ojcu św. przyjemniejszą jako wyszycie owego dywanu, tem bardziej, że i tu „jedna miłość warta drugiej.“ Możnaby do dwu figur dodać arcybiskupa Dindera, tłumy wygnanych katolików, wobec których papież zdobi kanclerza orderem Chrystusa, kilka główek z komisyi kolonizacyjnej itp. Czemu pięknych aktów historyi, zwłaszcza przynoszących wielki zaszczyt Stolicy apostolskiej, nie spisywać na jubileuszowych dla „ojca św.“ dywanach? Gdzież one godniej mogą być uczczone? Po za tem pytaniem przyznajmy, że stańczycy są na świecie potrzebni, bo któżby pobożnym damom przewodniczył w patryotyzmie? Któżby je nauczył, kto jest dobroczyńcą ich narodu? Brr! Co z nas się zrobiło!

*Poseł Prawdy.*

---

## POD MIKROSKOPEM.

I.

P. Ochorowicz przybył do nas z tajemnicami magii hypnotycznej i otworzył czasową lecznicę, w której jednych chorych pocierał, innych usypiał, innych oczami wiercił, a wszystkich miał uzdrowić z każdej dolegliwości. Według informacyj z zakresu stosunków moich nie wyleczył nikogo, nawet reporterów ze słabości bezmyślnego paplania i durzenia łatwowiernych czytelników. Być może zresztą, że sam szan. magnetyzer, który, chociaż w nauce najbardziej lubi jej stronę czarodziejską, do ustruganych mu w Warszawie ramek rozciągnąć się nie chce, przestraszony sławą uczonego cadyka zemknie do Paryża, gdzie ma warunki do pracy rzetelnej i gdzie mu jej nikt nie podlewa drożdżami reklamy. Okropny ten nasz grunt dla ziaren wiedzy! Nic nie umiemy, byle sztuczka wprawia nas w katalepsyę, muchę (swojską) rozedmiemy natychmiast w słonia, tak, że ona musi posiadać dużo rozsądku, ażeby nie uwierzyć w rzeczywistość tej przemiany. Szczęściem, że język nasz ma krótkie skrzydła i nie przefrunie za granicę z tem, co o czarodziejskiej mocy p. Ochorowicza w Warszawie napisano; inaczej obcy pomyśleliby, że nasza nauka jest wielką izbą czeladną, w której dziewczęta z chłopcami opowiadają sobie dziwne bajki. Nie przeczę, że p. Ochorowicz zebrał dużo spostrzeżeń w zakresie hypnotyzmu, ale żadnej z jego ważnych zagadek nie rozwiązał, a główna wada jego prac tkwi w tem, co mu poczytano za główną zasługę, mianowicie, że chwyta coraz inne sroki wiedzy. To zajmuje się sprawą poznania, to elektrycznością i wynalazkami, to cholerą i bakteryami, to magnetyzmem (nie licząc swobody woli, poczyj itd.), a prawie zawsze z materyału naukowego pragnie wydobyć osnowę do widowiska z przyprawą tajemniczości. Szkoda, bo to mu nie pozwoli nigdy być badaczem ścisłym i osiągnąć rezultatów poważnych.

Podczas gdy pisma brukowe objaśniały publiczność o cudownych uzdrowieniach „poddawacza myślowego,“ lekarskie dalej rozprawiały o różnych „przypadkach“ i „rękoczynach“ i ani słowem nie zabrały głosu w tej sprawie, chociaż ona mocno zajmowała ogół i chociaż liczne rzesze chorych obległy czarodzieja. Zapewne przemówią, gdy otwartą zostanie... wystawa tkacka.

II.

W Towarzystwie popierania przemysłu i handlu trwają dalej obrady nad taryfą celną. Usilnie zalecam, zwłaszcza melancholikom, ażeby czytali sprawozdania z tych obrad, mających mnóstwo właściwości leczniczych. Kto na tem przedstawieniu się nie uśmieje, temu już nigdy śmiech ust nie muśnie. Jest to bowiem ni mniej ni więcej tylko usiłowanie pomieszczenia wbrew prawu fizycznemu kilku wzajemnie interesowanych egoizmów w jednej komórce dobra społecznego. Zwykle meeting odbywa się tak:

— Ja żądam, ażeby podniesiono cło od cykoryi, którą uprawiam.

Zebrani zgadzają się.

Ale w tej chwili powstaje ktoś inny i woła:

— Przepraszam, ten pan nie dostarcza nam, fabrykantom, tyle cykoryi, ile jej potrzebujemy, zatem proszę ją całkiem uwolnić od cła.

Następuje targ, który zebrani przecinają po krakowsku — na połowę.

Kiedyindziej znów ktoś prosi o podwyżkę cła dlatego, że zamierza wyrabiać pewien produkt i już nawet obrał sobie plac na fabrykę.

Słowem, gdyby tym prawodawcom powierzyć politykę ekonomiczną kraju, ocliliby nawet teoryę wulkanów, gdyż w Towarzystwie znalazłby się ktoś, coby oświadczył:

— Postanowiłem się ożenić z pewną panną, która niewątpliwie urodzi mi syna, a ten syn zbada przyczynę wybuchów wulkanicznych.

Co najwyżej może uwzględnionoby częściowo protest redakcyi *Wezechświata*, która potrzebuje sprowadzać z zagranicy książki i pisma dotyczące wulkanów.

III.

Pomnik Moniuszki, stojąc długo przed zamkniętemi drzwiami, nareszcie wpuszczony został do kościoła Wszystkich Świętych. To jego wyczekiwanie zasmuciło wielu — mojem zdaniem — niesłusznie. Bo przypomnijcie sobie, ile lat stał pomnik Byrona przed bramą Westminsteru, zanim mu ją otworzono. I tak będzie zawsze z wielkimi ludźmi, dopóki ich posągi pukać muszą do wrót kościołów, którym trudno brać za złe, że opierają się przyjęciu w swe mury duchów niegodnych zająć nawet szarego końca śród „wszystkich świętych.“ Jednak co począć. Nie mamy narodowej Walhalli lub Panteonu. Próbowano coś podobnego zrobić z krakowskiej Skałki, ale gdy wnoszono do niej Kraszewskiego, stanął jako archanioł z mieczem dr. akuszeryi Jordan i grzmiącym głosem zawołał: „Nie kalajcie podziemi tej świątyni!“ Wprawdzie usunięto go na bok i Kraszewskiego pochowano, nie zapominajmy wszakże, że był to grzesznik niewielki. Ale przypuśćmy, że między nami urodził się i umarł Shelley! Nic pozostawałoby nic innego, tylko, jak ciało autora *Prometeusza*, spalić go i urnę z popiołami odesłać gdzieś na obczyznę, gdzie zbierają relikwie geniuszów.

IV.

Po śmierci W. Szymanowskiego, który podobno sam jeden śród 12 milionów polaków uznawał potrzebę ubezpieczenia praw autorów obcych w literaturze naszej i usiłował ją obciążyć haraczem za tłomaczenia, nie mamy już członka czynnego w „kongresach literackich.“ Wprawdzie na ostatni, madrycki, pojechał p. Wł. Mickiewicz, ale, jak widać ze sprawozdań w *Kuryerze warsz.*, zamienił on swą podróż na miłą wycieczkę bez celu „zawarcia konwencyi,“ dał pokój czczym obradom, zwiedzał Madryt, przypatrywał się walce byków, bawił się dowcipami p. Lerminy a kwestyę własności literackiej pozostawił tym, których ona jeszcze nie znudziła. Ale, zdaje się, że ona znudziła już wielu „członków czynnych.“ Maluczko, a owe „kongresy“ przybiorą taki charakter, jaki mają wyprawy naszego... Towarzystwa wioślarskiego. Wtedy... zapiszę się do tego grona wędrownego.

*Gezyasz.*

---

## NA WIDNOKRĘGU.

Poglądy *Woschodu* na stosunki żydów z ludnością polską na wsi. — Izraelici „bardzo przewidujący.“ — Kto ujarzmia chłopa i czego mu więcej potrzeba oprócz płacy i grzeczności?— Uczynni podlasianie.— Kwestya pijaństwa. — Jak działa „siwucha“ na białorusina. — Oszukani i wyzyskani. — Co chłop robi z pieniędzmi? — Zwyrodnienie ludu w Kaliskiem. — Potwory-mściciele. — Tajemnica ziemiańska. — Straże ochotnicze. — Mieszczanie i panicze w Chełmie.— Co powinni pierwsi zrobić dla wyprowadzenia drugich z niemocy.

Poważny *Woschod* stał się pomimo swej woli humorystycznym. Korespondent tego pisma z Warszawy sypnął garść naiwnych baśni o stosunkach żydów z ludnością polską na wsi. W każdym „panu“ ze szlachty włościanin instynktownie przeczuwa nieżyczliwego i nie żywi doń zaufania. Księdza wprawdzie bezwarunkowo słucha, ale tylko w kwestyach wiary i jej obrządków; w sprawach praktycznych po za murami kościoła kieruje się własnymi poglądami i sympatyami, które nakazują mu być w dobrych stosunkach z żydami. Oto przykład harmonii: We wsi mieszka biedny izraelita krawiec. Włościanie, chcąc mu przyjść z pomocą, sprzedają wszelkie produkty rolne *wyłącznie* jego żonie, która następnie na własną rękę prowadzi handel w mieście. Za to mogą oddawać odzież do roboty bajecznie tanio: kapota 50 kop., spodnie 20 kop. Drugi przykład: Jedną izbę wspólnie użytkują rolnicy — chłop i żyd. Gdy pierwszy idzie do kościoła, drugi strzeże jego dobytku i odwrotnie. To przyjazne zbratanie się izraelitów z włościanami bardzo się niepodoba naszemu stanowi klerykalno-szlacheckiemu. Narzekając, że pewna ilość żydów znajduje (liche) utrzymanie po wsiach i wiedząc, że przewidujący włościanin-katolik, wskutek zbratania się z bardziej jeszcze przewidującym żydem, trudniej się będzie poddawał ujarzmieniu i zamienieniu go w ślepe narzędzie dla dopięcia ich celów osobistych i stronniczych — panowie ci niedawno wywołali ruch na korzyść wydalenia żydów ze wsi. Zaczęli dowodzić konieczności zakładania po wsiach „gospód chrześciańskich,“ krzyczeli, że żydzi „wyzyskują,“ „podburzają,“ sprowadzają z prawdziwej drogi, że zamieszkiwanie izraelitów po wsiach grozi niemal całemu światu. Na szczęście ci, od których sprawa zależała, dość wcześnie przejrzeli; „gospody“ zamknięto, ruch zaś należycie powstrzymano. Korespondent zapomina o tem, że dziś szlachcic nie może *ujarzmiać* chłopa i „zamieniać go w ślepe narzędzie dla dopięcia osobistych celów.“ Serdecznie się cieszę z objawów przyjaźni chłopsko-żydowskiej, podanych przez *Woschod*, ale chyba nie będę stronnym, jeśli się pochwalę, że znam mnóstwo przykładów *ujarzmienia* ludu przez żydów. W Siedleckiem izraelici gromadnie osiadają we wsiach, obchodząc prawo, robią kontrakty dzierżawy, faktycznie zaś są nabywcami osad włościańskich, dawni zaś gospodarze, to ich drwale, stróże, wyrobnicy itd. Zmiana położenia zaczyna się od pożyczki 50—75 rs. na 200% udzielonej zagrodnikowi przez *dzierżawcę*.

„*Ci*, od których sprawa zależała,“ wcale nie mieli na myśli *szczęścia* żydów. Radziłbym *Woschodowi* przejrzeć z przed lat kilku *Warsz. Dniewnik* i *Ruś*, gdzie znajdzie inne powody na względzie... „Bardzo przewidu-

jący“ organ izraelski nie zdałby się na Dawida, bo się łasi przed Goliatem...

„Dziedzice-żydzi wszyscy dobrze i punktualnie płacą za roboty w polach, obchodzą się grzecznie i łagodnie, a to już i wszystko, czego żądają włościanie...“ Tak powiada korespondent owego pisma. Inaczej myślą i czynią ziemianie-katolicy na Podlasiu (w Siedleckiem). Dowiedli oni, że oprócz grzeczności i płacy za robotę, można jeszcze coś więcej dla włościan zrobić. Wieś Dołhobrody uległa niedawno strasznej klęsce. Spłonęła po zbiorach, a więc z owocem całorocznej pracy. W chwili pożaru pola nie były jeszcze obsiane. Najzamożniejsi nawet nie mogli dostać na razie ani ziarna, ani pieniędzy na zakupienie. Obywatele okoliczni, dowiedziawszy się o nieszczęściu, pospieszyli z pomocą. Dwudziestu kilku gospodarzy otrzymało całkowity zasiew, a reszta odpowiedni zasiłek w innej postaci.

Możnaby jeszcze usługę jedną wyświadczyć włościanom, chociaż oni tego *nie żądają*: ograniczyć zbyt hojne obdarzanie ich gorzałką. Wszakże ta czynność w prowincyach zachodnich i południowo-zachodnich należy wyłącznie do plemienia izraelskiego, któremu *Woschod* tak szczupłą działalność obywatelską nakreśla. Posłuchajmy, co mówi świadomy rzeczy p. Jelski: „Ktoś mógłby sądzić, że lud wiejski, biorący teraz lwią część z rozpraszającej się własności większej, wzbogaca się. Niestety! W rzeczywistości tak nie jest. Lud nieoświecony i słaby moralnie, trwoni to, co mu dziś łatwo przyszło i jednocześnie dzieląc swą własność na drobne schedki, marnuje zasób sił, czasu i środków wszelkich w tym procesie nieekonomicznym. Motorem wszelkiego złego jest gorzałka i nim jej chłop przez oświatę sobie nie zohydzi, nim mu ofiarność obywatelska nie przyjdzie w pomoc, niema nadziei polepszenia stanu rzeczy w wioskach, gdzie panami położenia są karczmarze, lichwiarze, pokątni doradcy i inni nędznicy.“ W Norwegii myślą obecnie o całkowitem usunięciu napojów wyskokowych. Być może, iż wyższy poziom umysłowy i moralny przyczyni się tam do urzeczywistnienia tego zamiaru choć w połowie w dalekiej przyszłości, o ile nie stanie temu na przeszkodzie ostry klimat północny. W Szwajcaryi, pod niebem południowem, w gronie *inteligentnem* powstała ta sama myśl, ale większość nie chciała dobrowolnie wdziać cugli na siebie. A więc czy można skutecznie przeciwdziałać nałogom pijaństwa śród ciemnych, kiedy *światli* oprzeć się tej pokusie nie zdołają? — ktoś mię zapytał. Istotnie, wobec takich faktów trzeba byłoby ręce opuścić, gdyby nie to, że ciemni włościanie więcej nieraz okazali w sobie siły odpornej, niż światle... karły.

Słabnący ród ludzki szuka podniety sztucznej dla podtrzymania energii. „Siwucha“ litewska, pomimo gorliwego rozcieńczania jej wodą, za wiele jeszcze musi posiadać siły pobudzającej, skoro ospały i cierpliwy lud koło Mira o mało nie urządził krwawej pohulanki anti-semickiej. W miasteczku Koreliczach w dzień jarmarczny chłop nie mógł się zgodzić na cenę czapki; stąd się zawiązała kłótnia, a następnie ogólna chęć ukarania „antychrystów.“ Zagrzani zwycięztwem, podpalili dom żydowski z naftą. Pożar ledwie zdołano ugasić. Lud litewski ma tę dodatnią cechę, że wszelki szał pod wpływem rozsądnej perswazyi łatwo mija. Było tak i z zapaśnikami jarmarcznymi. Lecz na nic wymowa, gdy się mózg rozpali gorączką posiadania roli. Nic dziw! Białorusin niemający pojęcia o płodozmianie, wyniszczył swą z natury lichą ziemię do tego stopnia, że dziś pomimo usilnej pracy, z głodu często musi przymierać. Szaleje więc, gdy się mu obiecanki sypną, bez względu, od kogo one pochodzą. Poznał naturę poleszuka żołnierz dymisyonowany Iljaszewicz w miasteczku Snowiu (gubernia mińska). Ogłosił w okolicy, że jest obrońcą i tłumy nieprzerwane poczęły go oblegać, a on im prawił, że przyszedł czas rozdawania gruntów. Otrzyma je nie każdy, lecz tylko ten, kto zawczasu poda prośbę do urzędu powiatowego do spraw włościańskich, zaznaczając, iż posiada ziemi zbyt mało. Uwierzyli. Wieść biegła coraz dalej, a miłosiernemu „abłakatowi“ ręce mdlały od pisania podań; za każde brał po 2 rs. i 60 kop. na marki. Wreszcie sił mu zabrakło do pracy bezustannej i zdjęła obawa, czy nie zawiele napłynęło do urzędu podań pisanych jego ręką. Rozszerzył więc *kancelaryę*, wziąwszy do pomocy żydka wiejskiego, Halberstadta, z nieocenionemi zaletami, bo umiejącego wybornie zmieniać swe pismo. W ciągu miesiąca *spółka* napisała około 120 podań. Sam urząd w Nowogródku przeraził się i ograniczył przyjmowanie ich. Daremne były wszelkie wyjaśnienia. Interesowani przemocą wciskali urzędnikom *papiery*, żądając wysłania ich *dalej*. Musiano pozornie się zgodzić, lecz wkrótce odkryto oszustów; głównego aresztowano, pomocnik zdołał zbiedz. Gdy powoli ułuda rozpierzchła się, włościanie znowu zaczęli oblegać „powiat,“ błagając o zwrócenie po 2 rs. 60 kop. Pokrzywdzeni zawiodą się jeszcze raz, a przemyślny łotr, po odbyciu kary, zapewne w innem miejscu rozpocznie „interes.“ Szkoda, że przemiana niektórych komórek prawa nie odbywa się z taką szybkością, jak w formach wad społecznych. Gdybym był prawodawcą, ogłosiłbym najwyższą karę za wyzyskiwanie namiętności ludzi łaknących.

Zastanawiałem się nieraz nad tem, co chłop robi z pieniędzmi, gdy ich ma za wiele. W części odgadnąć można. Kmieć polski, jeśli otrzymał fundusik po przodkach, a potem powiększył go własną pracą i szczerym postem, ceni tak swą krwawicę, że traci nieraz głowę. Nie puści monety na żadne przedsiębiorstwo, bo będzie wyobrażał, że ją zmarnuje. Najbezpieczniej zamurować lub zakopać gdzie w stodole. Papierki zbutwieją i rozsypią się, metal stanie się numizmatem. Chyba że sprytny kret dwunożny podkopie się i puści w obieg nieruchomy kapitał. Czy zapłacze poleszuk? Nie. Poskrobie się w głowę i powie: „że ukradł, to niech go tam, ale jakim sposobem znalazł?“ Mniej stoików pośród pijawek ssących krew własnych braci. *Starszyna* tylko część łatwo zdobytej sumy ukrywa, resztę obraca na rozszerzenie gospodarstwa. Buduje dom o kilku izbach z podłogą drewnianą, pomnaża ładny inwentarz, trzyma kilku parobków, każe się nazywać *panem*. Inaczej się urządza kmieć wielkopolski. Jako życzliwy sąsiad, pożycza uboższemu pieniędzy z 15% z góry. Poczęsne świadków kosztuje 3 rs. Po upływie roku rewers się odnawia w ten sam sposób. Albo: zamiast gorzałki, bierze się dwie morgi ziemi w zastaw. Cena tam dzierżawna 10 rs. od morgi, zatem procent 20, 3 poczęsne, podatki od zastawionego gruntu około 2 rs., czyli razem 25 rs. Zmysł praktyczny przenika pod strzechy włościańskie!

*Kaliszanin* uskarża się na upadek moralności śród tego ludu, zwłaszcza w okolicach Stawiszyna. Ojco i dzieciobójstwo — rzecz powszednia. Rodzą się tam potworymściciele. Jeden z nich wyprowadził swemu szwagrowi najlepszego konia (w cenie 75 rs.) i związawszy go, żywcem zakopał w głębokim dole. Kradzieże „nie są uważane za grzech“: „Wartoż gadać księdzu o takich bagatelach!“ — tłomaczą się przed swoimi. Co tam robią wpływowi obywatele i duchowieństwo? Nie tykajmy tajemnicy. Może pod jej osłoną piękne czyny się kiełkują. Jak urosną — zachwycą nas...

Odebrałem list z kieleckich stron. Korespondent z pomocą moją chce jedną z tajemnic „ziemiańskich“ odsłonić. Na chęciach mi nie zbywa, lecz z żalem wyznać muszę, że się to nam nie uda. Chyba poprosimy świadomych o wyjaśnienie. W r. b. zmarł w Kielcach Ludwik Walchnowski, radca miejscowej Dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Na mocy praw obowiązujących (z 1816 r.) nowy radca powinien być wybrany w możliwie najkrótszym czasie. Dawniej ściśle się trzymano tych przepisów, dziś po kilku miesiącach jeszcze ani Dyrekcya główna, ani interesująca się publiczność nic nie wiedzą o kandydacie na opróżnioną posadę. Według miejscowej opinii podobno *„prywata* w instytucyi prowadzonej przez *obywateli ziemskich, z wyboru urzędujących,* ma pierwszeństwo przed dopełnieniem przepisu prawa i dobrem ogólnem.“ Chciałbym się przekonać, że to jest fałsz.

Uznanie należy się strażom ochotniczym w miastach prowincyonalnych. Rozwijają się one ciągle, o ile stać im na to środków. Sprawności swej nieraz już dały dowody. Zagrzane przykładem miasta trzeciorzędne, starają się o utworzenie tak niezbędnych instytucyj. Nie braknie chęci i w Chełmie, ale zgadnijcie, co przeszkadza: śmietanka nie może się zgodzić z mlekiem i serwatką. Niedawno w czasie pożaru dzielni proletaryusze pracowali do omdlenia, ratując właścicieli miejskich, a zdala napawali się wspaniałym widokiem... panicze. Złożyliście egzamin, dzielni mieszczanie, ze stopnia rozwoju uczuć społecznych. Macie mięśnie wyrobione pracą. Idźcież dalej. Gdy wam się zdarzy powtórnie walczyć z ogniem, zaprzężcie młodzieńców spragnionych wrażeń do wiader i toporów. Wydelikacone cherlaki staną się waszymi pomocnikami, a w przyszłości może was będą błogosławić za wyleczenie z niemocy.

*Drogomir.*

---

## PRASA ROSYJSKA.

**Petersb Wied.** usiłują rozwiązać „kwestyę polską“ za pomocą „polityki włościańskiej“ i tak dowodzą, zaznaczając powiew ruchu w pierwszej:

„Nie potrzeba mówić, iż za rzeczywiście ważne w tem ożywieniu kwestyi polskiej należy uznać tylko to, co przygotowywa rząd ruski nie dla jakiejś zgody wymarzonej, lecz wprost dla praktycznego pożytku ludności, wśród której żyje i rozwija się owa kwestya. Ani dla idei margrabiego Wielopolskiego, ani dla jakiegobądź wielkiego ruchu nie ma w tej masie ludowej żadnego gruntu. Jest to tak oczywistem, że temu nie przeczą nawet zakordonowe gazety polskie. A właśnie wymienione środki rządowe powinny uzupełnić „proces wytrzeźwienia,“ jaki od lat z górą 20 przeżywa kraj nadwiślański i północno-zachodni.

Oczywiście nie możemy liczyć ani na szczerość księży polskich, ani arystokracyi, ani szlachty, lecz również jest jasnem, że wszelkie starania tych trzech kategoryj ludności polskiej nie mogą zaszczepić wśród włościan nienawiści do Rosyi: rok 1863 oraz niedawny bunt mazurów w Galicyi austryackiej stanowią szczególnie pouczający przykład dla zwolenników idei jagielońskiej. I czyż Rosya wobec tego nie powinna zwrócić swej uwagi tam właśnie, gdzie w zupełności może znaleźć ufność i oddanie, oraz szczere, nieudane poddaństwo.

Lecz do tego, aby te przyjazne uczucia mogły objawiać się otwarcie, bez obawy skrytej zemsty ze strony wrogów ruskiej sprawy, wypada, jak to jest jasnem dla każdego, postawić ludność włościańską w zupełnie nowych warunkach materyalnych. Reforma gminna, usuwająca drobną szlachtę i oficyalistów bogatych właścicieli majątków od zarządu gminnego, powinna przybyć tu ze skuteczną pomocą i usunąć ostatni cień rządowej władzy pańskiej. Pozostaje jeszcze zniweczyć i cień zależności ekonomicznej. Do tego celu, jakby się zdawało, powołany został Bank włościański i w jego rękach pozostaje teraz zakończenie naszej polityki włościańskiej w nieumierającej kwestyi rusko-polskiej.“

**Nowoje Wremia**, oburzone na *Wil. Wiestnik*, którego nowa redakcya pomieściła swoje polityczne wyznanie wiary, pisze:

„Dziwne idee głosi nowa redakcya *Wil. Wiestnika*, szukając gruntu dla pojednania ruskich z polakami w kraju zachodnim. Powraca ona do idei margrabiego Wielopolskiego, idei zrzeczenia się gubernij zachodnich ze strony polaków, idei, w której brakło szczerości Wielopolskiemu, kiedy to proponował i która się okaże bezwarunkowo niepraktyczną, o czem trudno wątpić, gdyż polacy nie zrzekną się roszczeń swoich co do kraju zachodniego. A jednak na idei tej *Wilenskij Wiestnik* buduje plany swoje pojednawcze. Nawet wobec teraźniejszego położenia narodowości polskiej, zmarłej politycznie, mówi *Wilenskij Wiestnik*, zrzeczenie roszczeń co do kraju zachodniego, ogromnie by się jej przydało, gdyż niezaprzeczenie stosunki nasze z polakami byłyby inne; znaleźliby oni w Rosyi mimo to wszystko, co było i co się przeżyło, obronę przyjacielską i poparcie na równi z pozostałemi narodowościami słowiańskiemi. O jakiej znowu obronie narodowości polskiej prawi *Wil. Wiest.*? O to przedewszystkiem zapytać go należy. Alboż narodowość polska gnębiona jest w Rosyi? A powtóre co znaczą te rozprawy ze strony organu półurzędowego, że za należeniem do nas kraju nadwiślańskiego obstawać nie będziemy; że kraj ten będzie nam odjęty; że trzymamy go jedynie tymczasowo, oczekując, kiedy wypadnie płacić nim Austryi albo Niemcom?! Od dawna nie czytaliśmy podobnych rzeczy w szpaltach organów naszych.“

W odpowiedzi na te uwagi *Wil. Wiestnik* ogłasza z rozporządzenia gen. gubernatora następującą dla jego redakcyi za owe rozprawy naganę:

„P. Główny Naczelnik Kraju, przeczytawszy w n. 213 *Wil. Wiest.* artykuł, wyrażający całkiem bezzasadne osobiste mniemania autora, uznał podobne rozprawy za wysoce niewłaściwe w tego rodzaju gazecie i całkiem niezgodne z istotnym stanem rzeczy; dlatego rozkazał ostrzedz, ażeby na przyszłość takie artykuły w organie miejscowym nie pojawiały się.“

**Rusk. Kurjer** mówi o prześladowaniu polaków w Poznańskiem, dotykając przemiany ich uczuć względem Rosyi:

„Na zapytanie słowianofilów naszych, drogą prasy wystosowane do wszystkich słowian Zachodu w przedmiocie zjednoczenia się pod hegemonią Rosyi, polacy, jako naród niegdyś kierowniczy wśród niektórych plemion słowiańskich, odpowiedzieli za pośrednictwem gazet poznańskich, że gotowi będą raczej zlać się w jedną całość z oświeconym krajem Zachodu, np. z niemcami, aniżeli pójść za Rosyą, tą wschodnią olbrzymką, dotąd jeszcze żyjącą tradycyami przeszłości... *Było to poprzednio*. Ale teraz, gdy się czasy zmieniły i gdy przekładane nad Rosyę Niemcy stały się rabusiami średniowiecznymi i za przykładem swoich przodków, którzy wytępiali u siebie wszystko, co nieniemieckie, wygryzły z oblicza ziemi wszystko, co polskie w W. Ks. Poznańskiem, i z granic swoich w roku zeszłym wygnały wszystkich polaków, odebrawszy im grunta na rzecz rodowitych niemców, w ten sposób rdzenną ludność miejscową w kraju pozbawiwszy wszelkiej możności dalszego istnienia — polacy inaczej przemówili. Uciekli się do kompromisu i obecnie ofiarują nam braterstwo swoje, powiadając, że wolą być pochłoniętymi przez Rosyę, niż przez Niemcy; albowiem w pierwszej, jako w kraju młodocianym, dopiero zaczynającym żyć kulturalnie, ma się rozumieć, więcej jest bodźców do ruchu, niż w Niemczech, żywiących się samemi jedynie tradycyami przeszłości, od których niewiele oczekiwać można... Cieszyć się z nieszczęścia, które dotknęło polaków w Niemczech, oczywiście nie należy; lecz powinniśmy się radować, że się zwrócili na łono idei słowiańskiej, co też drogiem być winno dla wszystkich, noszących imię słowiańskie... A jednak przewrót ten w ruchach polskiego żywota zdarzył się ledwie teraz (22 września 1887 r.), kiedy w Poznaniu władze pruskie wydały rozporządzenie, ostatecznie zabraniające w szkołach miejscowych mowy polskiej, dotychczas jeszcze trzymającej się jako tako i nieskazywanej na zupełne wygnanie, jak to pierwej czynili niemcy w stosunku do słowian, których różnymi czasy w zeszłych wiekach pochłaniali, i jak to ma stać się dzisiaj po urzędowem wzbronieniu polakom ojczystej ich mowy... Podobnego barbarzyństwa, jak to wiedzą polacy, Rosya nigdy na żadnym z dziesiątków narodów swoich, mieszkających w różnych częściach państwa, nigdy nie praktykowała... Wspierając się na tym fakcie, polacy W. Ks. Poznańskiego usilnie agitują, jak mówią w Wierzbołowie, na rzecz otwarcia prywatnych szkół polskich w Prusiech dla kształcenia dzieci swoich w duchu narodowym i w miłości stron rodzimych. A jeżeli się ten środek nie powiedzie, będą wychowywali dzieci w domu lub wysyłali do Rosyi dla kształcenia w państwowych zakładach Królestwa Polskiego... Fakt takiego gwałtu, dokonanego na języku polskim w W. Ks. Poznańskiem, jest zapewne godnym bezwzględnie pożałowania, ale przysłuży się on prawdopodobnie idei słowiańskiej, wyżej wypowiedzianej. Ofiary wprawdzie nie są pożądane w takich wypadkach dążenia idei narodowej, ale cóż począć, kiedy one w politycznych dziejach świata są koniecznemi?...“

---

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Ministeryum oświaty** opracowało projekt, dążący do jaknajwiększego ograniczenia przywilejów służbowych, połączonych z wykształceniem. Obok tego projekt zmierza do podniesienia znaczenia rang cywilnych. „Wykształcenie nie powinno dawać żadnych przywilejów służbowych.“ Każdy na wstępie służby rządowej, bez względu na kwalifikacye naukowe, winien rozpoczynać karyerę na równi z innymi, to jest z osobami, które otrzymały niższe lub zupełnie tylko nizkie wykształcenie, lecz mającemi prawo do sprawowania służby rządowej na mocy swego pochodzenia. Jedynie co do terminu na wysłużenie pierwszej rangi, według projektu ministeryum, szlachta z wyższem ukształceniem ma pewną prerogatywę. Otrzymuje ona pierwszą rangę po upływie roku od wstąpienia do służby i to przy niezbędnym warunku, aby już zajmowała urząd etatowy. Klasa ta, bez wyższego lub średniego wykształcenia, podług praw dotychczas obowiązujących, otrzymuje rangę po upływie lat dwóch. Osoby pochodzenia nieszlacheckiego, którym nie wolno sprawować służby rządowej, zyskują to ostatnie prawo przez otrzymanie dyplomu wyższego zakładu naukowego, lub przez ukończenie średnich szkół z odznaczeniem. Na dalsze przechodzenie szczebli rangowych już stopień wykształcenia żadnego wpływu mieć nie będzie.

**Zakaz.** Minister spraw wewnętrznych zabronił sprzedaży pojedynczych numerów gazet: *Minuta* i *Syn Otieczestwa*.

**Herbata.** Z powodu projektowanego podwyższenia cła od herbaty, w petersburskiem towarzystwie przemysłu i handlu złożono podanie przez główniejsze firmy z prośbą o zaniechanie tego projektu, który, według ich zdania, wyjdzie tylko na ogólną szkodę konsumentów.

**Uczniowie** dwóch pierwszych oddziałów technicznych w szkołach kolejowych mają prawo przechodzić do wyższej klasy bez egzaminu w razie, jeśli się okażą pilnymi. Nie otrzymującym promocyi tylko w razach nadzwyczajnych wolno będzie uczęszczać do klasy w drugim roku.

**Bankructwo.** W Lipsku zbankrutowało Towarzystwo dyskontowe. Kapitał zakładowy 9 milionów marek, podobno stracony całkowicie. Katastrofę wywołała zmowa dwóch dyrektorów, którzy zapomocą fikcyjnych kont zręcznie łudzili przez długi czas radę nadzorczą i rewidentów. Obaj umknęli. Jeden, Winkelmann, został winien kasie 2 miliony, drugi, Jeruzalem — 700,000 m. Dotychczas oszustwo pociągnęło za sobą upadek w Lipsku dwóch wielkich firm. Najbardziej ucierpi Rumunia, gdzie Tow. dyskontowe prowadziło rozległe operacye. Również pokrzywdzona Syberya.

**We Lwowie** prof. dr. August Balasits został wybrany dziekanem w miejsce zmarłego Kasznicy.

**Podatek.** W dziennikach ruskich podniesiono myśl opodatkowania prawa polowania do wysokości 20 rubli rocznie. Według obliczenia projektodawców, przyniosłoby to skarbowi 2 miliony rocznie.

**Na regulacyę Wieprza** przeznaczono 70,000 rs. Do robót przy ujściu rzeki przystąpi wkrótce zarząd kolei Dąbrowskiej.

**Malarnię** na szkle i porcelanie otworzono w Warszawie. Zakład ma na celu wyrugowanie wyrobów zagranicznych.

**Mosk. Wied.** donoszą, iż w celu wzmocnienia wpływu rządu, jako akcyonaryusza, na zarząd kolei prywatnych, postanowiono zwiększyć liczbę należących do skarbu akcyj dróg żelaznych.

**Kokursy.** *Echo muzyczne* ogłasza konkurs na sztukę ludową. Nagroda 300 rs., przyczem wszelkie prawa wobec druku i sceny pozostają przy autorze. Termin do nadsyłania 15 maja 1888 r.

— Warszawskie Towarzystwo farmaceutyczne ogłosiło konkurs na napisanie dzieła z dziedziny farmacyi praktycznej w języku polskim. Objętość dowolna, nagroda 150 rs. Termin nadsyłania prac 1 listopada 1888 r.

**Komitet** budowy pomnika dla Jana Królikowskiego ogłosił rezultat z koncertu urządzonego w salach Redutowych 18 września b. r. Czystego dochodu osiągnięto rs. 2,133 k. 93. Z sumy tej wyasygnowano p. Bolesławowi Syrewiczowi rs. 1,000 na koszt budowy pomnika. Pozostałe rs. 1,133 rs. k. 93 złożono w Banku handlowym warszawskim na rachunek czekowy.

**Szkołę niższą** techniczną w Sosnowicach zakłada p. Dietel dla dzieci swych robotników.

**Biuro** porady prawnej otworzyli w Warszawie adwokaci przysięgli: Flamm, Małkowski i Wierzchlejski.

**W departamencie** medycznym poruszono sprawę powiększenia kwalifikacyj wymaganych od felczerów przy zdawaniu egzaminów. Jednocześnie podniesiono projekt rozdzielenia czynności felczerskich i fryzyerskich w ten sposób, iż właściciele sklepów fryzyerskich nie mogą zajmować się udzielaniem pomocy chorym według przywileju, służącego t. z. izbom felczerskim.

**Kosulat hiszpański** zawiadamia, iż termin do zamawiania miejsc dla przedmiotów na wystawę powszechną w Barcelonie w r. 1888, upływa 15 listopada b. r. Interesowani mogą się zgłaszać po objaśnienia do konsulatu w Warszawie, ul. Włodzimierska nr. 21 codziennie do 1-ej po południu.

**Nowa kolej**: Lwów-Bełzce (Tomaszów) oddano do użytku publicznego. Cała linia wynosi 90 kilometrów.

**W Poznańskiem** w Marszewach, Kozieminie i Malkowach władze zamknęły ludowe biblioteki polskie.

**Wychodźcy.** W pierwszych ośmiu miesiącach r. b. z W. Ks. Poznańskiego i Prus zachodnich wyemigrowało 7,780 osób, przeważnie polaków.

**Posener Ztng** utrzymuje: pomimo że obszar polskich posiadłości włościańskich się zmniejsza, stan rzemieślniczy i przemysł polski czynią znaczne postępy. Szczególnie w miastach powstaje bardzo wiele nowych zakładów, prawie zawsze zręcznie prowadzonych. W Poznaniu w ostatnich latach polacy nabyli bardzo wiele nieruchomości. Ożywienie stowarzyszeń świadczy o zasobach moralnych społeczeństwa. W Gnieźnie są dwa polskie towarzystwa rzemieślnicze, niemieckie zaś nie mogą się tam utrzymać.

**Departament telegraficzny** ma udzielać nagrody osobom donoszącym najbliższej stacyi o uszkodzeniu linii lub jej zagrożeniu. Oby się nie znaleźli szkodnicy-donosiciele.

**Wystawa tkacka**, oznaczona na grudzień, otwarta dopiero będzie 15 stycznia 1888 r. Komitet ma się porozumieć z fabrykantami i przemysłowcami w całem państwie, celem zaproszenia ich do udziału w wystawie.

**Cło.** Projekt podwyższenia cła od bawełny surowej, sprowadzanej z zagranicy, powstał wskutek prośby fabrykantów rosyjskich. Domagają się oni podniesienia opłaty do 1 rs. za pud bawełny przywożonej lądem i do 75 kop. od dostarczanej morzem. Minister skarbu podanie przyjął przychylnie, zapowiadając, że będzie się starał w Radzie państwa, ażeby bawełna przywożona drogą lądową, tj. przeważnie przez Królestwo Polskie, była ocłona o 15 kop. w złocie wyżej, niż sprowadzana przez Odesę i Libawę.

**Kontrola państwowa** rozesłała okólnik do wszystkich zarządzających izbami obrachunkowemi, polecający rozejrzenie (z rejentalnych sprawozdań) testamentów i aktów bezpłatnego przejścia nieruchomo-

ści i kapitałów od jednych osób do innych w ciągu zeszłego półrocza i przedstawienia wiadomości, jaka przypadnie stąd suma skarbowi na mocy przepisów z d. 27 czerwca 1887 r., oraz ileby skarb otrzymał przy ściąganiu opłaty podług skali, która istniała przed wydaniem wspomnianych przepisów.

**Bibliografia**. St. Godlewski: *Zbiór praw*, obowiązujących w guberniach Królestwa Polskiego, tom I, 1886, str. 505. po polsku i rosyjsku.

— J. Unger: *Kalendarz ilustrowany* na r. 1888, stale wychodzący od lat 43.

— H. Sienkiewicz: *Pan Wołodyjowski*, tom I, str. 280, nakł. *Słowa*.

— *Dzieł Heinego* w krytycznej edycyi pod kierunkiem G. Karpelesa i nakładem Grote'a wyszedł w Berlinie tom VI.

— *Revue des deux Mondes* drukuje powiastkę *Yaga*, napisaną przez Małgorzatę Poradowską.

— Nakładem nowej berlińskiej firmy wydawniczej E. Dominika, wyszedł w książkowem wydaniu przekład niemiecki *Pana Graby* Orzeszkowej (3 tomy), oraz dwutomowy romans popularnej w Niemczech Natalii v. Eschstruth, p. t. *Polnisch Blut*..

**Zmarli**. Gustaw Kirchhoff, właściwy twórca analizy spektralnej, która tak dzielnie posłużyła do badania chemicznego składu ciał niebieskich.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Bezimiennym w M.* Prosimy o adres imienny, gdyż odpowiedzi na tem miejscu dać nie możemy, a ta, którą posłaliśmy, widocznie Panów nie znalazła.

*P. Wł. Brz.* Jest to stara i dotąd nieuleczalna słabość naszych pism informacyjnych. I nam nieraz zdarzyło się przybyć na dworzec kolejowy i usłyszeć, że jakiś pociąg wykazywany w rozkładzie jazdy *Kuryerów* albo wcale nie chodzi, albo o innej godzinie.

*Z.* Zrobimy to, co Pani zrobić była powinna: napiszemy do Szwajcaryi.

**Uwaga**. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

## OFIARY.

*Do uznania redakcyi dla biednych*: N. N. rs. 100.

## Ogłoszenia.



Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Октября 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.